

ROBERT J. SZMIDT

**POLA DAWNO
ZAPOMNIANYCH BITEW**



- Pora wstawać, mój panie... - szepnęła wciąż jeszcze zaspana Monicatherine, przeciągając się zmysłowo w szeleszczącej pościeli.

- Jeszcze czas, słońce dopiero wstaje... - mruknął Nike na tyle głośno, by go usłyszała, a zarazem na tyle cicho, by nie wyrywać jej z błógiego rozleniwienia.

Siedział, a właściwie pólleżał w okrytym skórą tygrysa płytkim fotelu, wpatrując się w wąski wykusz okna. Sącząc cierpkie wino z kryształowego pucharu, obserwował rozkołysane mocnym wiatrem szczyty drzew i siny masyw górski w oddali. Pierwsze promienie przedświtu zaledwie przed chwilą rozjaśniły horyzont, ale było już dość jasno. Rzadkie chmury płynęły leniwie po niebie, jak wielkie kłęby dymu z dogaszanego ogniska. Wśród nich baraszkowały, idąc w zawody z wiatrem, smukłe skrzydlate sylwetki. Zbyt charakterystyczne, by je pomylić z ptakami. Zbyt szybkie i zwinne. Zbyt błyszczące. Całe stado ognistoczerwonych smoków opuściło gniazda, by przywitać ten dzień w przestworzach.

- Dlaczego mnie nie zbudziłeś, mistrzu? - Pytanie dobiegło zza oparcia fotela tak niespodziewanie, że drgnął mimo woli, wypuszczając z ręki puchar.

Upadł, na szczęście już opróżniony, wprost na futra wyściełające kamienną posadzkę. Nie stukł się, jedynie kilka kropel szkarłatnego płynu prysnęło na długie, śnieżnobiałe włosie. Dobry znak... Nike uśmiechnął się. Monicatherine podeszła tak cicho, a może to on odpłynął myślami zbyt daleko.

- Co cię trapi, kochany? - Dziewczyna przykucnęła tuż obok. Oparła głowę na jego ramieniu, a on przesunął opuszkami palców po długich włosach barwy złota.

- Przecież wiesz... - pochylił się, by ją pocałować, ale w tym właśnie momencie wstała.

Przeszła obok niego naga, wciąż gorąca i zaspana. Stała przed oknem zasłaniając widok, lecz już po chwili zmysłowo się pochyliła, opierając łokcie o wąski parapet.

- Smoki... spójrz, kochany, jak ich dużo dzisiaj - powiedziała świadoma, że nie na skrzydlastych stworach skupia się teraz jego uwaga.

- Lubię smoki - odparł, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. - Jest w nich tyle godności, a zarazem są tak szalone.

Mógł iść o zakład, że Moni uśmiechała się, gdy to mówił. Chwilę później przykleknęła pod oknem i razem patrzyli na

wirujące w oddali ogniki. Bładoczerwona łuna świtu wciąż rosła na horyzoncie.

- Będzie mi ich brakowało... - Nike przymknął na moment oczy, ale nim zdążył je ponownie otworzyć, nagły błysk zmusił go do kurczowego zaciśnięcia powiek. Nie na wiele się to zdało. Miał wrażenie, że nagie słońce zapłonęło na wprost jego oczu.

- Już siódma - powiedziała zupełnie innym tonem Monicatherine. - Nie możesz spóźnić się na ostatni apel.

Oślepiający błysk bardziej niż jej słowa uświadomił mu, że wyłączyła iluzjoner. Obraz kamiennej ściany z wąskim wykuszem zniknął, a wraz z nim drzewa, góra, niebo i tańczące na wietrze smoki. Panoramiczny wyświetlacz zajmujący powierzchnię całej ściany pokazywał teraz bezbrzeżną pustkę przestrzeni kosmicznej i zawieszoną w niej planetę-matkę. Słońce wychyło przed momentem zza jej krawędzi, dokładnie zsynchronizowane z iluzją. Fotochromatyczny krystalit natychmiast pociemniał, ale ten ułamek sekundy...

- Zdążę... - jęknął po części z bólu wywołanego błyskiem, a po części dlatego, że była to ich ostatnia wspólna iluzja.

- Wydawać by się mogło, że nie chcesz iść na ten apel - podeszła do niego kręcąc biodrami, lecz zatrzymała się poza zasięgiem rąk. - Czy aby na pewno wszystko jest w porządku?

- Widziałaś mój indeks - odparł wymijająco i nadal przecierał oczy. - Mam czwarty wynik na roku.

- Widziałam - przyznała. - I mówiłam ci, że to wystarczy... możesz mi wierzyć.

- Wierzę ci, kochanie - pochylił się nagle, by ją objąć w pasie, lecz schwytał tylko powietrze i ten niepowtarzalny, choć jakże ulotny zapach rozgrzanej skóry. Monicatherine cofnęła się zwinnie o krok i spoglądała na niego uważnie.

- Niepokoi mnie coś w twoim zachowaniu... - szepnęła, gdy wstawał z fotela.

- Daj spokój. Nie co dzień człowiek kończy akademię.

- Pasowanie to jeszcze nie wyrok - dodała. - Przecież tak naprawdę nic się nie zmieni. Z twoim świadectwem na pewno zostaniesz w obrębie Układu. Może nawet załapiesz się tu, na orbicie.

- Tak, między nami nic się nie zmieni... - powiedział, choć doskonale wiedział, że jego słowa są bardziej fałszywe niż iluzja, na którą przed chwilą spoglądali.

- Zbieraj się - rzuciła mu kombinezon, ten sam, który

poprzedniego wieczoru tak pieczołowicie poskładał. Paradny kombinezon kadeta ostatniego roku. - Masz tylko kwadrans do pierwszego gwizdka, a chciałabym jeszcze...

Nie musiała kończyć. Wiedział, czego chciała. Wiedział też, że tego właśnie najbardziej będzie mu brakowało...

* * *

- Baczość!

Trzy równoboczne formacje umundurowanych postaci wyprężyły się w ułamku sekundy. Półmrok ogromnego hangaru, obłe kształty myśliwców i transportowców stojących w oddali, a nade wszystko wszechobecny chłód uświadamiający wszystkim uczestnikom tej ceremonii, że od niekończącej się próżni dzieli ich tylko kilka metrów plastali, działał na wyobraźnię.

- Na zakończenie apelu przemówi rektor-admirał Damiandreas Dreade-Ravenore!

Oficer dyżurny zaszutował po wypowiedzeniu tych słów i zszedł z mównicy robiąc miejsce dla postawnego, kompletnie łysego mężczyzny. „Dredd” miał na karku szesnasty krzyżyk, ale sto trzydzieści trzy standardowe lata - w tym prawie osiemdziesiąt w przymusowej hibernacji - spędzone na aktywnej służbie sprawiły, że nadal wyglądał jak

młody bóg. Wzrost koszykarza, kwadratowa szczęka, szerokie bary, mięśnie godne kulturysty, sprężyste, ale i pełne godności ruchy. Wszyscy kadeci zazdrościli mu tej sprawności, ale żaden nie przyznałby, nawet na torturach, że poczuł choć odrobinę sympatii do Dredda w ciągu sześciu lat nauki. Admirał był wyniosłym, sadystycznym sukinsynem i bardzo lubił przemawiać. Uwielbiał wręcz dręczyć słowami. Wiele razy przekonali się o tym na własnej skórze. O jednym i o drugim. Dlatego też dawno już przysięgli, że żaden nie wyda z siebie najmniejszego dźwięku podczas ostatniego przemówienia.

- Kadeci, spocznij! - rozpoczął zwyczajowo, pokazując równocześnie gruby plik kartek, na których zawarł tezy swojego ostatniego wystąpienia i zamilkł wymownie, zapewne chcąc usłyszeć szmer zwątpienia, ale tym razem, zgodnie z postanowieniem, nie dali mu satysfakcji. Zwrócił uwagę na to milczenie, kadeci w centrum pierwszego szeregu dostrzegli, jak nerwowo drgnęła mu powieka.

- Zadajecie sobie zapewne pytanie - rzekł odkładając kartki na mównicę - dlaczego szkoliliśmy was w tak trudnych warunkach? Dlaczego musieliście z zamkniętymi oczami przeprowadzać najbardziej skomplikowane procedury

alarmowe, skoro?.. - tu znowu zawiesił głos i przesunął wzrokiem po szpalerze kadetów, zanim podjął przemowę od ulubionego powtórzenia, które pozwalało mu przedłużyć mowę o kolejną sekundę - ...skoro od stu siedemnastu lat żadna jednostka floty nie brała udziału w walce. Nie mamy dzisiaj wrogów, to prawda. Ostatnia wojna kolonialna zakończyła się absolutnym i bezdyskusyjnym zwycięstwem Federacji. Przyznaję, było to pyrrusowe zwycięstwo. Chyba każdy z was stracił w tym konflikcie jakiegoś przodka. Niemniej za cenę ich krwi zapewniliśmy naszej cywilizacji pokój w znanym Wszechświecie na cały wiek, i to z okładem. Jeszcze nigdy w całych dziejach ludzkości pokój nie był tak trwały. Człowiek sięgnął gwiazd przed zaledwie trzema stuleciami. Ujarzmił przestrzeń w niespełna pięć pokoleń. Skolonizował tysiąc czternaście planet w ośmiuset siedemdziesięciu dwóch układach. Zbadał następne osiemnaście tysięcy systemów gwiazdnych. To wiele, naprawdę wiele jak na trzy wieki ekspansji, choć gdyby nie czas wojny domowej, moglibyśmy do tej listy dopisać setki następnych światów. Ale nawet dziesięć razy większa liczba zasiedlonych planet to tylko kropla w oceanie Galaktyki. Setki milionów gwiazd nadal czeka na eksplorację. Ile wokół nich

kraży planet, nie mamy pojęcia. Ile tam może istnieć cywilizacji równych nam albo potężniejszych, tego się nawet nie domyślamy. Fakt, że nigdy nie odkryliśmy zaawansowanych form życia w zbadanym sektorze Drogi Mlecznej, że nie trafiliśmy na żaden sygnał czy artefakt pozostawiony przez Obcych, nie oznacza wcale, że oni nie istnieją tam, tuż za granicą poznania. Że nie obserwują nas od dawna. Nie zagrażą w przyszłości. Wszechświat jest przeogromny, ba, powiadają, że nieskończony. Nie możemy być pewni bezpieczeństwa naszego domu i nigdy nie będziemy tej pewności mieli, póki choć jeden system w najodleglejszym zakątku naszej galaktyki pozostanie niezbadany. A to nastąpi za tysiące, może dopiero za dziesiątki tysięcy lat...

Znowu przerwał, przesunął ręką po krótko przystrzyżonych włosach nad lewym uchem, tuż obok długiej, krwawej pręgi, która ciągnąc się aż po nasadę nosa czyniła z jego twarzy przestrożę, co każdego z nich może kiedyś spotkać w przestrzeni, jeśli nadejdzie czas próby.

- Od stu osiemnastu lat jesteśmy zjednoczeni. Po raz pierwszy w historii ludzkości nie ma państw, nie ma narodów, znaczenie straciły pojęcia rasy i zajmowanych terytoriów.

Nasi pradiadowie złożyli daninę życia, żeby zjednoczyć ludzkość pod jednym sztandarem. Ale Federacja będzie potrzebowała jeszcze co najmniej stu lat, by odrobić straty poniesione w tamtej wojnie. Wiele światów czeka na ponowne zasiedlenie, wiele planet już nigdy nie będzie domem człowieka...

Umilkł. Tym razem nie patrzył na kadetów, lecz wrócił wspomnieniami do czasów, gdy spoglądał na ginące kolonie jako kadet, oficer, dowódca. Dziesiątki planet zamienionych w wieczne cmentarze, Setki wciąż leczących rany. To była cena zjednoczenia. Znali ten wyraz twarzy, wiedzieli też, że zaduma nad przeszłością nigdy nie trwa długo.

- Dzisiaj kończycie naukę w Akademii Floty - ciągnął admirał. - Jutro rozpoczniecie służbę w jednostkach liniowych. Rozproszycie się po całym Sektorze, po setkach systemów. Niektórzy z was dostąpią nawet zaszczytu służby tutaj, na Ziemi. Tak... mam siedem takich nominacji - pomachał wyjętymi z kieszeni kartami i wreszcie, pomimo przysięgi, rozległy się w szeregach pierwsze ciche pomruki skwitowane krzywym uśmiechem Dredda; nikt nie spodziewał się, że będzie aż tyle złotych kart. - Po raz pierwszy od pięciu lat tak duża liczba wychowanków naszej Akademii trafi do

służby w dowództwie floty na Ziemi. Siedem nominacji dla siedmiu prymusów. Dla najlepszych z najlepszych. Zanim je wręczone, chciałbym jednak przekazać inną, nieco mniej radosną informację...

Zapadła grobowa cisza. Wszyscy wiedzieli, jakie słowa zaraz padną, chociaż nikt nie chciał ich usłyszeć.

- Otrzymałem z dowództwa floty formalne zapotrzebowanie na... - rektor zamilkł dla podkreślenia wagi słów, które miał wypowiedzieć - trzydziestu trzech kadetów przeznaczonych do zaszczytnej i odpowiedzialnej służby w jednostkach Korpusu Utylizacyjnego.

Głuchy jęk przetoczył się przez hangar. Dredd nie zareagował, spoglądał tryumfująco na kwaśne miny stojących w ostatnich szeregach kadetów. Ci mieli największe szanse na „zaszczytną” służbę w jedynych jednostkach, w których śmierć nadal zbierała obfite żniwo.

- Czeka was wielka przygoda, moi panowie. Nie mieliście serca do nauki o wojnie, poznacie zatem naocznie jej skutki. Oto wasze zaproszenia na pola dawno zapomnianych bitew - powiedział nie bez satysfakcji Damian Andreas Dreade-Ravenore uaktywniając wyświetlacz aktówki.

* * *

Nike obracał w palcach mały plastikowy prostokąt, na którym zapisano jego przyszłość. A może raczej jej brak... W hangarze pozostało niewiele osób. Paru wykładowców żegnających swoich ulubionych podopiecznych i kilkunastu kadetów, którzy nadal czekali na oficerów łącznikowych z jednostek, do których zostali przydzieleni. W zasadzie należało powiedzieć: kilkunastu skazańców... Służba na pokładach ciężkich transportowców Korpusu Utylizacyjnego nie należała do bezpiecznych. Trzydzieści trzy tegoroczne etaty oznaczały, że co najmniej tyle samo członków ich załóg przeniosło się od ostatniego apelu w zaświaty. I to tylko w dywizjonach sto czternastego Sektora.

- Stachursky - brzmienie własnego nazwiska wyrwało Nike'a z zamyślenia.

Spojrzał w kierunku wychowawców, w samą porę, by zobaczyć, że Dredd, rozmawiający z niskim, otyłym mężczyzną w brudnym kombinezonie mechanika, wskazuje na niego palcem. Podniósł worek z rzeczami i zarzucił go na ramię.

- Ty jesteś Stachursky? - Rudawy oficer o nalanej twarzy podszedł do Nike'a i wyciągnął dłoń cuchnącą chemikaliami po kartę przydziałową.

Dopiero z bliska dało się zauważyć na jego znoszonym kombinezonie naszywki z rangą kapitana floty i nazwiskiem Morrisey, umieszczone pod złotym niegdyś napisem „FSS Nomad”.

- Tak jest! - Karta od razu wylądowała w czytniku, a kapitan gwizdnął cicho i spojrzał prosto w oczy kadeta.

Nike nie od razu zareagował. Z przerażeniem patrzył na metalowe palce protezy ściskające obudowę czytnika.

- Jaja sobie ze mnie robicie? - zapytał zdziwiony dowódca „Nomada” nie podnosząc wzroku. - Tu jest napisane, że jesteś tegorocznym prymusem. Czwarty wynik na roku. Tacy do nas nie trafiają.

- Melduję posłusznie - Nike strzelił przepisowo obcasami, zanim odpowiedział - że to nie pomyłka.

- Nie? No to jak mi to, chłopczyku, wytłumaczysz? - Morrisey pokazał mu ekran czytnika, na którym obok hologramu twarzy i danych osobowych widoczne były wyniki wszystkich egzaminów oraz zbliżona do ideału ocena końcowa.

- Powiedzmy, że zagłębił się nie w to zagadnienie, co powinien. - Dredd podszedł do nich i wyręczył kadeta w odpowiedzi.

- Słucham? - Kapitan Morrisey wyglądał na naprawdę zdziwionego.

- Melduję posłusznie, że rznąłem córkę pana admirała! - wyjaśnił Nike nowemu przełożonemu, nieco głośniejszym, niż wymagała tego sytuacja.

Śmiechy stojących opodal wykładowców ucichły jak nożem ucięte.

* * *

- Naprawdę tak powiedział? - Heraklesteban Iarrey, szczupły i wysoki jak tyka, pierwszy oficer „Nomada” otarł jednorazowym ręcznikiem pot z karku, po czym cisnął mokry papier wprost na podłogę.

Wchłaniacze rozpoczęły jego utylizację, ledwie dotknął metalowej kratownicy. Ktoś postanowił, że temperatura w mesie transportowca będzie symulować tropiki. Najprawdopodobniej kapitan, bo najwyraźniej nikt z regularnej załogi nie protestował.

- Naprawdę. - Morrisey siedział w swoim fotelu, z nogami założonymi na blat stołu odpraw, i wciąż przeglądał akta pięciu kadetów, którzy karnie stali w szeregu pod ścianą obok dystrybutora posiłków. Wszyscy byli mniej więcej tego samego wzrostu i podobnej budowy, jakby to właśnie te

kryteria sprawiły, że trafili na pokład „Nomada”.

- I Dredd go nie zabił? - zdziwił się Iarrey sięgając po następny ręcznik.

- Chciał, Bóg mi świadkiem, że bardzo tego chciał. Sęk w tym, że chłopak był już pod moją jurysdykcją. - Morrisey pomachał od niechcienia kartą przydziału Nike'a.

- No, to miałeś, synku, farta... - Główny nawigator „Nomada”, podporucznik-pilot Annataly Davidoff-Rozerer, jedyna kobieta na pokładzie, przyglądała się nowym nabytkom, jakby byli towarem wystawionym na sprzedaż.

- Gdyby nasz stary dobry szef nie był takim służbistą...

- Za drobną opłatą obiecałem staremu, że szczeniak nie przeżyje pierwszej roboty - rzucił od niechcienia Morrisey.

Głośny śmiech wypełnił mesę. Rechotał nawet ojciec Pedroberto, kapelan załogi „Nomada”. Tylko kadeci przepisowo milczeli.

- No dobrze, czas na małe powitanie. - Czytnik powędrował wreszcie do kieszeni, a nogi dowódcy „Nomada” zetknęły się z podłogą. - Nazywam się, jak już pewnie wiecie, Henrichard Morrisey i mam wam do zakomunikowania kilka łatwych do zapamiętania rzeczy. Po pierwsze, na pokładzie tego statku jestem ważniejszy od Boga. Po drugie, jeśli

uważaliście, że admirał Dredd to skurwysyn, to już wkrótce przekonacie się, że żyliście do tej pory w błogiej niewiedzy na temat prawdziwego skurwysyństwa. Po trzecie, robota, jaką mamy do wykonania, nie należy do łatwych i bezpiecznych. Fakt, że potrzebowaliśmy aż pięciu kadetów do uzupełnień w tym roku, powinien wam wiele powiedzieć o charakterze zadań, jakie nas, a właściwie was, czekają. Naczelne dowództwo przekazało pułkowi, w skład którego wchodzi „Nomad”, rozkaz oczyszczenia słynnego Sektora Valeriańskiego. Do tej pory udało się wykonać ten rozkaz mniej więcej w połowie. Właśnie dotarliśmy do układu Valeria 3a13, jeśli coś wam ta nazwa mówi. Mówi...? - spojrzał wymownie na szereg kiwających głowami kadetów. - To poproszę o króciutkie streszczenie historii walki o ten system, numerze jeden - wskazał palcem na pierwszego z brzegu kadeta.

- Daliśmy im w dupę, sir! - Wincentymoteusz De'Vere miał szóstą ocenę od końca na całym roku, czemu trudno było się dziwić, zważywszy, iż sam jego wygląd sugerował poziom intelektualny troglodyty.

- W dupę im daliśmy, powiadacie, numer jeden? To ciekawe stwierdzenie, acz z gruntu nieprawdziwe.

- Oni dali nam w dupę, sir! - przepytywany kadet wyszczerzył zęby w tryumfalnym uśmiechu.

Morrisey pokręcił z niedowierzaniem głową. De'Vere zdębiał.

- Remis był? - zapytał zdumiony.

- Remis, pajacu, to na meczu ligi przestrzennej może być. Może pan, numer dwa, odpowie? - Palec kapitana minął Nike'a i wskazał na pierś Carre-Foura. Z Carre'ów, tych Carre'ów. Głupkowaty uśmiech spelzł z wąskich ust na arystokratycznej, szczupłej twarzy, w momencie gdy kadet zrozumiał, że poprzedzający go Nike nie musi odpowiadać.

- Nie sądzę, żebym mógł dokładniej... - wymamrotał czwarty klon arystokraty z podrzędnej planety.

- Całkiem słusznie sądzisz, skurwykloni pomioście! - przerwał mu bezceremonialnie Morrisey i nie zważając na purpurę, jaka pojawiła się na policzkach łajanego kadeta, ryknął na cały głos. - Numer trzy!

Ale ani Josephilip Kolczuk, pryszczaty małomówny kurdupel, o którym mówiono w Akademii, że jest nieślubnym synem wysoko postawionej szychy z Ziemi, ani jego całkowite przeciwieństwo Yukitaro Domita, czternaste dziecko pańszczyźnianego chłopca z planety o tak

skomplikowanej nazwie, że nikt nie myślał nawet jej wypowiadać w całości, nie potrafili odpowiedzieć na to pytanie. To zresztą nie było niczym zaskakującym - podobnie jak poprzednio zapytana para, obaj stanowili najniższą warstwę intelektualną Akademii i praktycznie rzecz biorąc nie powinni jej w ogóle ukończyć, gdyby nie parytety i naciski rządów sektorów. Gdyby admiralicja nie przewidywała zasilania takich załóg, jak ta.

Zrezygnowany Morrisey wskazał w końcu na Nike'a.

- Valeria 3a13 to system składający się z ośmiu planet - wyrecytował wyprężony jak struna niedawny prymus najlepszej Akademii. - Był jednym z najważniejszych punktów transferowych Sektora V zwanego też Valeriańskim. Federacja zamierzała przejąć nad nim kontrolę już w pierwszej fazie wojny, by odciąć część wysuniętych układów planetarnych przeciwnika od łatwego zaopatrzenia nadprzestrzennego. W tym celu wysłano dwa zespoły uderzeniowe, które miały równocześnie zaatakować instalacje na Czwartej, jedynej zamieszkannej, planecie układu i orbitalną stację tranzytową. Niestety wróg, po raz pierwszy podczas tej wojny, łamiąc wszelkie konwencje aktywnie zaminował domniemane punkty wyjścia wokół wrót transferowych.

Ponadto, czego dowództwo Federacji nie wiedziało podejmując akcję, stacjonowały tam pokaźne siły chroniące instalowany właśnie na Czwartej sztab obrony całego sektora. Admirał Tahomey wyprowadził swój zespół uderzeniowy prosto na jedno z pól minowych, tracąc podczas podejścia niemal połowę floty. Drugie zgrupowanie miało więcej szczęścia przy wychodzeniu z nadprzestrzeni, ale jak się wkrótce okazało, cztery eskadry oddelegowane do ochrony stacji tranzytowej i sztabu stanowiły trudny orzech do zgryzienia nawet dla najnowocześniejszych pancerników Federacji. Można powiedzieć, że bitwa nie została rozstrzygnięta. Punkt transferowy został poważnie uszkodzony, ale kontroli nad nim nie uzyskano. Obie floty wykrwawiły się wzajemnie w trzynastogodzinnej walce, a...

- Wystarczy! - Morrisey przerwał kadetowi i znów położył nogi na blacie. - Kadet Stachursky odrobił zadanie domowe, czego o reszcie nie można powiedzieć. Dlatego z przykrością muszę stwierdzić, że od tego momentu wielce szanowni panowie kadeci noszą zamiast nazwisk numery. Ty - wskazał na De'Ve're'a - masz jedynekę, ty - wymierzył palcem w Carre'a - dwójkę, albo nie, natura już cię obdarzyła numerkiem, skurwykloni pomiole, więc zostaniesz, jak

doktor i tatuś chcieli, czwórka. Kolczuk to trójka, Domita przejmie w takim razie numer drugi. Kadet Stachursky pozostaje kadetem Stachurskym, dopóki nie przyjdzie mi ochota tego zmienić i będzie łącznikiem między dowódcą a załogą numerowaną. A to oznacza, że żaden z numerowanych nigdy, ale to nigdy nie zwróci się bezpośrednio do nikogo z pełnoprawnych członków załogi bez pozwolenia otrzymanego za pośrednictwem kadeta Stachursky'ego. Żaden z numerów, jeśli nie zostanie wezwany, nie ma też wstępu na górny pokład. Zrozumiano?

- Tak jest! - odpowiedzieli unisono. Co jak co, ale dyscyplinę Akademia wpoila wszystkim adeptom.

- A gdyby kogoś interesowało, co znaczą te numery, to od razu wyjaśnię - kontynuował kapitan. - To taki stary obyczaj w jednostkach liniowych. Jak wydam rozkaz, na przykład wyjścia w otwartą przestrzeń, to nie muszę wskazywać paluchem ani wywoływać nikogo po nazwisku. Numer jeden idzie pierwszy, a jak coś spierdoli, czytaj wykituje, to po nim idzie numer dwa, potem trzy i tak dalej, aż do skutku. Zrozumiano?

Tym razem odpowiedź nie była już tak jednogłośnie.

- Odmaszerować! - warknął Morrissey. - Kadet

Stachursky jeszcze na moment z nami zostanie.

* * *

- Wiesz, synku, dlaczego kazałem ci zostać? - zapytał kapitan, gdy pozostali kadeci zabrali swoje rzeczy i opuścili pomieszczenie mesy.

- Nie wiem, sir! - odparł Nike zgodnie z prawdą.

- Na pewno nie wiesz?

- Na pewno, sir! - Stachursky starał się wymyślić coś na poczekaniu, ale naprawdę nie miał pojęcia, do czego zmierza nowy dowódca.

- Żeby nie przedłużać - przerwał jego męki Morrisey. - Widziałem twoje akta i wiem, że należysz do asów pieprzonej Orbitalnej Akademii Floty. Pech chciał, że wybrałeś nie ten otwór co trzeba i przepieprzyłeś sobie, he, he... - śmiech kapitana okazał się zaraźliwy - dosłownie, przepieprzyłeś sobie życie. Ale głupi nie jesteś, wręcz przeciwnie, i dlatego szybko połapiesz się, że nie wszystko, co mówią o tej służbie, to prawda. A skoro tak, to wolę od razu zaproponować układ.

Iarrey, nawigatorka, kapelan i milczący do tej pory porucznik odpowiedzialny za systemy uzbrojenia, który chyba nazywał się Born, przynajmniej tyle można było odczytać z jego brudnej naszywki, otoczyli zdezorientowanego kadeta.

- Jaki układ, sir? - zapytał zaskoczony Nike.

- Wiesz, dlaczego wszystkie bitwy Wojny Zjednoczeniowej i w ogóle wszystkie potyczki w przestrzeni odbywały się w pobliżu punktów Lagrange'a? - zapytał ni w pięć, ni w dziewięć kapitan.

- Teoretycznie rzecz biorąc, wiem... - odparł Nike, nieco się asekurując.

- No, to słucham...

- Mówi się, że to kwestia strategii, ale prawda jest chyba taka, że nikomu nie uśmiecha się powolna i anonimowa śmierć w pustce kosmicznej z dala od jakichkolwiek szlaków. Dlatego wszystkie pola bitew przestrzennych umiejscawiano w punktach zwanych dołkami Lagrange'a na cześć...

- Streszczaj się, synku - ponaglił go kapitan.

- W strefach grawitacyjnych, w których uszkodzone i zniszczone jednostki pozostaną przez długi okres, tworząc coś w rodzaju pola asteroid, dzięki czemu można z dużą dozą prawdopodobieństwa przeprowadzić ewentualne akcje poszukiwawcze i ratunkowe. Dlatego też, począwszy od starożytności, strategię zakładały walkę statyczną. Żadna ciężka jednostka nie wchodziła do boju na prędkościach przekraczających 0,04 standardowej kosmicznej, żeby po

ewentualnym zniszczeniu nie wyrwać się z takiego „dołka”.

- A co to oznacza w praktyce?

Nike spojrział na kapitana nadal nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- W praktyce oznacza to, że w dołkach nadal powinny krążyć niemal wszystkie jednostki zniszczone w tych bitwach, o ile nie spadły na powierzchnię pobliskich planet.

Nike pomyślał o Dreddzie i jego osiemdziesięcioletniej odysei w kapsule ratunkowej. Gdyby nie ta taktyka, stary admirał byłby teraz kawałkiem zamrożonego mięsa wędrującego przez niekończącą się pustkę albo ślicznym meteorem tnącym niebo odległej planety.

- Doskonale. - Morrisey roześmiał się na cały głos. - Bardzo celny wniosek, kadecie Stachursky. A co z tego wynika dla nas?

- Mamy ułatwioną robotę... - To też, ale...

- Ale inteligentny chłopczyk, który wie, o co chodzi, może się nieźle obłowić - słysząc te słowa Nike zrozumiał od razu, dlaczego Born rzadko odzywał się przy pozostałych.

Głos, jakim się odezwał, mówił wszystko o preferencjach seksualnych odpowiedzialnego za broń porucznika.

- Proponujemy ci drobny udział w zyskach w zamian za

pełne posłuszeństwo i kontrolę tamtych śmieci - kapitan wskazał ruchem głowy drzwi, za którymi przed chwilą zniknęli pozostali kadeci.

- Udział w zyskach, sir? - Kadet spojrzał przytomniej na rozbawionych załogantów.

- Naprawdę nie rozumiesz? - na ustach Morriseya pojawił się pierwszy szczery uśmiech. - Ta robota jest kurewsko niebezpieczna - podniósł rękę prezentując elektroniczną protezę - ale i cholernie opłacalna. Musisz tylko odbębnić swoje latka na pokładzie i czeka cię ponadwymiarowa emeryturka jak marzenie.

- A czarną robotę odwalają za nas Numery - dodał Jarrey kiwając głową.

- Mamy wprawdzie wyspecjalizowane roboty - powiedział kapitan - ale jak wiesz, to cholernie drogi sprzęt. Zniszczenie takiej maszyny oznacza dziesiątki szczegółowych raportów, które wychodzą często poza admiralicję. A śmierć kadeta najniższej rangi to tylko list do rodziny, medal i znacznie rzadziej drobna finansowa rekompensata...

- Zresztą im większe straty w akcji, tym lepiej - szepnęła niemal zmysłowo Annataly pochylając się do ucha Nike'a.

- Im więcej zabitych, tym mniej sensownych ludzi garnie

się do roboty w Korpusie Utylizacyjnym - podjął wątek Morrisey - a po poległych i tak nikt nie płacze. Zwłaszcza dowództwo, które ma z naszego procederu słuszny dodatek do pensji, a niejako przy okazji oszczędzamy mu masę kłopotu z, nazwijmy to po imieniu, odpadami akademickimi.

- Jak rozumiem - powiedział kandydat na udziałowca firmy „Nomad” - najpierw badamy, potem dopiero niszczymy...

- Widzisz, Nike - kapitan uśmiechnął się do swoich myśli - archeologia to wspaniała dziedzina nauki, zwłaszcza jeśli ma się wsparcie w postaci ściśle tajnych map i dostęp do archiwum floty. Wchodzisz w ten układ?

- A co mnie czeka, jeśli odmówię? - zapytał ostrożnie Nike.

- Obiecałem coś admirałowi, a jestem naprawdę słownym facetem... - Słowa kapitana, choć wypowiedziane wesołym tonem, niosły w sobie wyraźną groźbę. - Łamię dane słowo tylko wtedy, gdy widzę w tym swój interes.

- Rozumiem. - Nike spojrzał dowódcy w oczy i ostrożnie skinął głową. - Wchodzę w to. Pozostaje tylko kwestia...

- Dwie kwestie - przerwał mu bezceremonialnie kapitan.

- Dwie? - zdziwił się Nike.

- Tak. Najpierw strona finansowa. Żeby nie było nieporozumień. Kochajmy się jak bracia, liczymy się jak klony. Masz dziesięć procent zysku ze wspólnych akcji i pięćdziesiąt z tego, co sam nadasz.

- Zgoda. - Propozycja wyglądała na uczciwą, zresztą w zaistniałej sytuacji Nike zgodziłby się na każdą, nawet o wiele mniej korzystną.

Morrisey nagle spoważniał.

- I druga sprawa, chłopcze - to „chłopcze” zabrzmiało bardzo złowroźnie. - Pani porucznik jest jedyną kobietą na pokładzie i jak się zapewne domyślasz, należy do mnie i tylko do mnie. Ja nie jestem wujcio Dredd i nie będę się zastanawiał przez pół semestru, jak ci wyrafinowanie dopiec. Jeśli wykryję choć jeden, nieważne, jak mikry, ślad twojej w niej bytności, to... - zrobił protezą nieokreślony gest mogący oznaczać wszystko. - Rozumiemy się, panie córeczkojebco?

Nike rzucił szybkie spojrzenie na kombinezon lotniczy nawigatorki, a raczej na nęcące kształty, jakie okrywał ten obcisły kawałek lśniącego materiału. Potem spojrział wprost w roześmiane oczy Borna. Nie odpowiedział mu uśmiechem.

- Rozumiemy się - przytaknął i sięgnął po worek. - Kadet Stachurski odmeldowuje się!

- Moment... - Kapitan nie spuszczał z niego badawczego wzroku.

- Tak, sir?

- To twoje imię. Nike... Dlaczego nie nosisz standardowego dwuczłonowego imienia jak każdy przyzwoity człowiek? - zapytał dowódca.

- Noszę, sir - odparł Nike.

- Niby jakie? - Annataly wyglądała na naprawdę zdziwioną taką odpowiedzią.

- Składowe to Nik i JJce.

- Nick pisze się inaczej - wtrącił Iarrey.

- Rodzina mojego ojca pochodzi ze Strefy Noworosyjskiej, stąd odmienna pisownia pierwszego członu. Na cześć jakiegoś słynnego, cholera wie ile razy pra, pradziada. Był podobno wziętym pisarzem na Ziemi w początkach Nowej Ery.

* * *

Wyszli z nadprzestrzeni w dużym oddaleniu od gwiazdy oznaczonej na mapach Federacji symbolem Valeria 3a13, kilkanaście stopni poza strefą ekliptyki, na skraju wyliczonego pola bezpieczeństwa. „Nomad” wciąż zwalniając leciał ku Czwartej trzymając się z dala od ewentualnych pozostałości

wojennych. Teraz, kiedy współczesne systemy koordynacji danych pozwalały na obliczanie skoków z dokładnością lokalizacji celu do pięciu milionów mil, mogli się zbliżyć do każdego systemu bez potrzeby korzystania ze stałych punktów tranzytowych i związanego z tym ryzyka natrafienia na pozostałości flot albo pułapki zastawione przez obrońców.

Trzeciego dnia pokładowego po przybyciu na miejsce Morrisey osobiście pojawił się na górnym pokładzie i zasiadł w sfatygowanym fotelu dowódcy. Annataly i Iarrey wciąż odczytywali i segregowali dane z sond dalekiego zwiadu, wystrzelonych dwie doby wcześniej w kierunku wszystkich „dołków” Lagrange'a w systemie. Born i Nike czekali na rozwój wydarzeń przy zapasowych konsolach, sprawdzając wybrane odczyty. Kapelana i pozostałych kadetów na razie nie wybudzono. Zautomatyzowane systemy „Nomada” wykorzystały czas potrzebny do wyhamowania po wyjściu z nadprzestrzeni, podczas którego kolejni załoganci kolejno wychodzili ze snu hibernacyjnego, do przebadania docelowego systemu planetarnego. Teraz należało jedynie zinterpretować dane i przystąpić do działania.

- Kiedy będziemy mieli pełen obraz sytuacji? - zapytał Morrisey, ledwie zapiął pasy.

- Za, plus minus, pięć minut standardowych - odparł Jarrey

Morrisey pokiwał głową i włożył do ust oliwkową bryłkę czegoś, co najwyraźniej służyło do żucia.

- Czekam, panie pierwszy - powiedział i splunął na kratownicę pod głównym ekranem.

- Przecież nie minęła nawet minuta - zachnął się zagadnięty.

- Zależy, jak na to patrzeć - odparł enigmatycznie kapitan i włączył pełen podgląd na panoramicon.

Obłe ściany kabiny zmieniły zabarwienie i stały się w kilka sekund całkowicie przezroczyste. W czasie lotu nad planetą wrażenie dezorientacji występuje u paru procent doświadczonych astronautów, w pustce nie ma takiego problemu. Tutaj nic nie zakłóca błędniaka, zwłaszcza gdy widok sprzętów w sterowni pozwala ustalić hipotetyczny pion.

Centrum systemu planetarnego z pojedynczą gwiazdą klasy A3 znajdowało się przed nimi. Komputery wyświetlały na ekranach opalizujące orbity wszystkich planet i ich satelitów, zaznaczyły też trasy większości ciał niebieskich przemierzających okolice systemu w odwiecznej podróży przez Wszechświat. Trochę tego śmiecia było, ale nie tyle,

żeby zepsuć wrażenie podróży w otwartej przestrzeni.

- Mamy skupisko właściwe na orbicie czwartej planety systemu - powiedział Iarrey. - Dokładnie według zapisów sztabu. Większość wrakowiska, jakieś dziewięćdziesiąt siedem procent przewidywanej masy, pozostaje w strefie. Mam jednak trochę odczytów na zewnątrz „dołka”. Złom z pogranicza zaczyna się już wydostawać z pułapki grawitacyjnej. Jeszcze parę lat i...

- Nie filozofuj, Iarrey - przerwał mu dowódca. - Co z polami minowymi?

- Sondy poszły czterdzieści siedem godzin temu, zlokalizowaliśmy szesnaście z dwudziestu zapór, o jakich mówiły przejęte raporty kolonistów. Cztery pozostałe mogą już nie istnieć...

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby całe pole minowe zniknęło albo zostało kompletnie zdetonowane - mruknął kapitan. - Nie ruszę dupy z fotela, dopóki nie będę miał pełnej lokalizacji wszystkich przeszkód.

Iarrey wzruszył ramionami i nadal sprawdzał dane na swojej konsoli.

- Co z namierzonymi polami? - zapytał po chwili.

- A co ma być? - zdziwił się Morrissey. - Pozbądź się tego

gówna.

W próżni dźwięk się nie rozchodzi, za to widoki są piękne - tak któryś z wykładowców Akademii zachwalał uroki nawigacji systemowej. Teraz jego słowa nabrały dodatkowej głębi. Tysiące towarzyszących sondom nano-szperaczy wbiło się w pola min nuklearnych, które sto kilkanaście lat wcześniej miały bronić dostępu do punktu tranzytowego w domniemanych punktach podejścia. Atramentowa czerń pustki rozbłysła nagle milionem barw. Nie przypominało to ogni sztucznych, ale było na swój sposób urzekające. Dziesiątki zlewających się z sobą eksplozji, gasnąca powoli plazma, halo o barwach znacznie żywszych niż te w tęczy. Gdyby wtedy, przed stuleciem, posiadano dzisiejszą technikę, zespół uderzeniowy przeszedłby przez pola minowe jak promień lasera przez papier. Ale nie posiadano i dzisiaj sto osiemdziesiąt wraków najrozmaitszej wielkości krążyło na orbicie planety, której nazwy nikt już nie pamiętał.

- Mamy kompletne namiary na pozostałości po czterech polach, w które wszedł zespół uderzeniowy numer jeden - powiedziała Annataly, która również zajęła się obróbką danych pola walki. - W zasadzie nie istnieją. Szczątki aktywowały większość min pozostałych po pierwszym

przejściu, a te, które nie wybuchły, pewnie już nie wybuchną.

- Nigdy nie ma takiej pewności, skarbie - mruknął Morrisey. - Czy masz odczyty o aktywnych minach pozostających wewnątrz wrakowiska?

- Nie więcej niż dziesięć - potwierdziła Annataly.

- Mamy wizję?

- Oczywiście - na panoramiconie pojawiły się kolejne obrazy ilustrujące położenie hipotetycznych niewypałów.

- Panie Born? - To pytanie wystarczyło, by oficer uraczył wszystkich krótkim wykładem o sposobach neutralizacji każdej z min. Roilo się w tej gadce od terminów technicznych i wzorów matematycznych, ale sens był prosty i można było całość zawrzeć w kilku słowach: nie da się użyć kolapsarów do zdalnego ściągnięcia całego śmiecia bez ryzyka przypadkowej eksplozji i rozrzucenia szczątków poza strefę.

- "Kiedy będziemy mieli sondy V na miejscu? - zapytał Morrisey po chwili.

- Pierwsza fala jest już na orbicie i wchodzi w punkt Lagrange'a - odpowiedział jak zwykle spokojnie Iarrey. Mikrosondy sieci wizualizacyjnej pozwalały na sporządzenie trójwymiarowej mapy badanego sektora i maksymalnie dokładną ocenę sytuacji.

- Rzućmy okiem... - Przełączył panoramicon na widok transmitowany przez zsynchronizowane kamery sond.

W mgnieniu oka znaleźli się w samym środku wrakowiska. Zniszczone okręty i ich fragmenty tworzyły zwarte pole rozciągające się na przestrzeni setek tysięcy mil sześciennych wokół punktu Lagrange'a, tworząc niesamowity wir metalowych i plastycznych konstrukcji. Po większości jednostek, zwłaszcza tych mniejszych, zostały tylko strzępy - procesy destrukcji, jakie rozpoczęły laserowe salwy wroga, dokończyła sama natura. Niekończące się kolizje z sąsiednimi szczątkami zamieniły niegdyś dumne okręty w kupę poskręcanych kompozytów. Oglądali kolejne, niewiele się różniące ujęcia, czasem dało się uchwycić rozprute i wybebeszone kadłuby korwet i niszczycieli, ale zbyt zniszczone, by warto było do nich zaglądać.

- Witam w piekle pana Lagrange'a - mruknął rozparty wygodnie w fotelu Morrisey. - Tu, gdzie skarby przeszłości czekają na swoich odkrywców, a śmierć na frajerów.

Rejestratory sond przekazywały do sterowni kolejne, niemal identyczne ujęcia pola bitwy, która zakończyła się ponad sto lat wcześniej. Lokalizowali miny i detonowali zdalnie te, w pobliżu których nie było nic wartego

zainteresowania.

Przeglądali strefę systematycznie, ale dopiero po kwadransie zobaczyli coś godnego zainteresowania. Pękaty kadłub antycznego pancernika wynurzył się majestatycznie ze stożka cienia planety. Morrisey, który właśnie kodował kolejne szperacze do neutralizacji namierzonych w tym sektorze min, natychmiast kazał przenieść to ujęcie na czołowy ekran i usunąć pozostałe, mniej istotne przekazy do rejestracji zamkniętej. Najbliższe sondy znajdowały się zaledwie o parę mil od dobrze zachowanego dziobu pancernika, dlatego Nike bez problemu mógł zidentyfikować wciąż widoczny numer, a nawet część nazwy, która dla wielu ludzi jeszcze dzisiaj była symbolem zwycięskiej walki o zjednoczenie. Olbrzymi okręt bojowy wydawał się nietknięty. Tak potężnego pancerza nie mogły pokonać nawet wielotonowe fragmenty wraków, a większych w tej części punktu Lagrange'a, prócz admirałskiego okrętu flagowego, jak na razie nie widzieli. Obracający się wolno wzdłuż osi pancernik wypełnił wkrótce cały ekran. Zdawał się płynąć tuż nad sterownią „Nomada”, choć w rzeczywistości oba statki dzieliło więcej niż miliard mil.

Rozparty w fotelu Morrisey uśmiechnął się władczo.

- Panie Stachursky, co my tu mamy? - zapytał.

- FSS „Odyn”, numer burtowy BS 61, flagowy okręt admirała Tahomeya - wyrecytował z pamięci Nike. - Milion sto sześćdziesiąt tysięcy ton wyporności, długość kadłuba właściwego 810 metrów, średnica w najgrubszym miejscu 72 metry, uzbrojenie...

- Wystarczy - przerwał mu nadal uśmiechnięty Morrissey.
- Cokolwiek powiedzieć, to jest nasze bingo! Ugryziony, ale nie schrupany do kości... - sztuczna ręka kapitana wskazała na lewą część ekranu.

W tej właśnie chwili ujrzeli pociemniałe, poszarpane krawędzie pierwszej z ogromnych dziur w poszyciu, ciągnącej się od śródkręca aż po przewężenie sekcji maszynowej.

* * *

Niespełna sto godzin później, dryfując na skraju punktu z włączonymi na pełną moc deflektorami, oglądali z bliska stopione płyty poszycia zastygłe wokół mrocznego otworu prowadzącego wprost w głąb wraku. Warstwa zastygłej plastali zewnętrznego pancerza tworzyła niewiarygodnie piękne kształty. Parujący, rozgrzany do białości metal tężał w ułamkach sekund w zimnie pustki kosmosu. Wiele z tych kruchych rzeźb zostało zniszczonych w trwającej ponad

stulecie podróży wraku, ale kilka zachowało się nadzwyczaj dobrze. Jedną z nich mogli właśnie podziwiać w pełnym zbliżeniu. Gejzer stopionego metalu wytrysnął z wnętrza wraku i zastygł w wiecznym mrozie pustki kosmicznej tworząc kształt, w którym nawet przy braku wyobraźni można było rozpoznać ludzką sylwetkę wyciągniętą ręką wskazującą idealną czerń pustki kosmicznej. Zniekształconą wprawdzie, ale nie bardziej niż awangardowe rzeźby zdobiące uznane galerie sztuki współczesnej na Ziemi.

- Piękne, nieprawdaż? - Morrisey wskazał na krystalicznie czarny stopiony helon. - Jakby matka natura chciała nas przed czymś...

Przenikliwe zawodzenie syren alarmowych przerwało wypowiedź kapitana. Iarrey dopadł konsoli i jednym uderzeniem otwartej dłoni przywrócił w sterowni ciszę, którą natychmiast wypełniły głosy przekrzykujących się załogantów.

- Zamknąć pyski, skurwyklony! - głos Henricharda Morriseya był równie skuteczny, co dłoń Iarreya. - Meldunek, panie pierwszy!

- Uaktywniona mina na kursie zbliżeniowym... - wyszeptał Iarrey, ale i tak wszyscy go doskonale usłyszeli.

- I co z tego? - prychnął kapitan patrząc na niego z pogardą. - Nie pierwsza i nie ostatnia... Co to za złom?

- Mark VII... - Pierwszy nadal nie podnosił głosu.

Morrisey zbladł, wszyscy to widzieli.

- Cierpliwa śmierć - jęknął Nike.

Cierpliwa śmierć, tak mówiono na ten rodzaj plazmowych min przed laty, tak nazywano je i teraz. Wypuszczane w pobliżu węzłów komunikacyjnych wroga podczas ostatniej wojny, zdolne przeczekać w doskonałym kamuflażu całe dziesięciolecia, zbierały krwawe żniwo na gwiazdnych szlakach jeszcze długo po kapitulacji. Trwały w ukryciu, na wyznaczonych pozycjach, oczekując na ten jeden, jedyny cel, mimo iż wojna już dawno się skończyła. Pozostawione sobie, zapomniane, lecz całkowicie samowystarczalne i niemal niezniszczalne gigatonowe inteligentne ładunki, przed którymi nie było ucieczki.

- Jakie odczyty? - zapytał już znacznie mniej pewnym głosem Morrisey.

- Namierzyła nas osiemnaście sekund temu - odparł Iarrey. - Klasyczna kolonialna zbliżeniówka.

- Dystans?

- Siedemset pięćdziesiąt siedem mil do strefy odpalenia i

wciąż maleje.

- Anna...!

- Zrozumiałam. Mam wszystkie koordynaty. Zwalniam podejście.

- Ile czasu nam zostało? - zapytał kapitan.

- Maksymalnie siedem minut, jeśli Annatally wie, co robi... - Jarrey potrzebował kilku sekund, by odpowiedzieć na to pytanie.

- Martw się o siebie, ja wiem, co robić - porucznik Davidoff-Rozerer wyduła pogardliwie wargi.

Morrisey wyglądał na szczerze rozbawionego całą sytuacją.

- Jakież sugestie? - zapytał.

- Najlepszą taktyką w takiej sytuacji jest maksymalne zmniejszenie prędkości zbliżeniowej, nadanie sygnału SOS i opuszczenie okrętu w rufowych kapsułach ratunkowych, zanim jednostka wejdzie w strefę kontaktową sir! - wyrecytował posłusznie Nike.

- Proszę, proszę - na twarzy kapitana pojawił się grymas przypominający uśmiech. - Tak mówią podręczniki, ale my kochamy ten okręt jak własny dom i raczej zginiemy, niż pozwolimy go zniszczyć, prawda? Zatem, co wojsko robi w

takim wypadku?

Nike milczał. Kapitan splunął na kratownicę aktywując po raz kolejny wchłaniacze.

- Numer jeden zakłada kombinezon próżniowy - powiedział po chwili kłopotliwego milczenia - i melduje się w służbie dziobowej. Numer dwa i trzy czekają w pełnym oporządzeniu w służbie na bakburcie. Numer cztery melduje się w ładowni przy szperaczu. Też w pełnym kombinezonie. Będziemy rozbierać minę podczas podejścia. Minuta na wykonanie rozkazu.

Morrisey wstał z fotela, jeszcze zanim skończył mówić. Nike nawet nie drgnął, gdy dowódca „Nomada” zniknął za jego plecami. Nieznośny zapach smaru zmieszanego z korzennym zapachem substancji, którą nieustannie żuł, świadczyły, że nowy przełożony zatrzymał się tuż za nim.

- Ale wybudzenie... - Nike poczuł ciarki na plecach.

- Racja, kadecie. Problem w tym, że numery nadal smacznie śpią, a jedynym członkiem załogi, którego możemy chwilowo poświęcić, jesteś... ty. - Głos dowódcy rozbrzmiał tuż za jego prawym uchem. - Jakież sugestie?

- Melduję, że użycie niedoświadczonych kadetów do rozbiorzenia inteligentnej miny tej klasy równe jest

samobójstwu - odparł Nike siląc się na spokój. Znał swoje możliwości, niewiele większe zresztą niż każdego z czterech pozostałych kadetów. Znał także dokładne parametry miny, która stała na ich drodze. Zestawienie tych danych nie pozostawiało cienia wątpliwości.

- Racja... - tym razem głos Morriseya dobiegał zza lewego ucha. - Czy nie wspominałem, że jestem naprawdę wielkim skurwysynem? - zapytał kapitan i nagle parsknął śmiechem.

Nike, zdziwiony jego reakcją, drgnął czując, jak drobinki śliny spryskują mu ucho i tył wygolonej regulaminowo głowy. Obrzucił nerwowym spojrzeniem pozostałych członków załogi. Nie wyglądali już na tak przejętych jak przed chwilą.

- Mark VII, „Cierpliwa śmierć”, uzbrojona i niebezpieczna - kontynuował tymczasem rozbawiony do łez kapitan, pojawiając się znów w zasięgu wzroku. - Wiesz, co to naprawdę oznacza?

Nike pokręcił głową.

- To absolutna gwarancja, że nikt dotychczas nie grzebał w trzewiach naszego giganta. - Morrisey uśmiechnął się znacząco. - Mark VII to doskonała broń, która siała strach w duszach naszych przeciwników. Bezlitosny zabójca, przed

którym nie ma ucieczki. Chyba że masz... - Odwrócił się i pytająco podniósł jedną brew.

- Kody dezaktywacyjne? - zapytał nieśmiało Nike.

- Brawo, młody przyjacielu! Kody dezaktywacyjne, dokładnie. - Kapitan klepnął go w ramię i roześmiał się na głos. - Admiralicja była uprzejma wyposażyć nas w dostępny komplet tabel kodowych tak naszych, jak i wrogich. Wystarczy rozszyfrować kod wysyłany razem z sygnałem namierzania, podać odpowiednią sekwencję i nasz Mark VII stanie się zwykłą kupą złomu, a numerowani przyjaciele nie obudzą się, zanim nie wrócimy... z przeszukiwania kolejnego Eldorado. Mam nadzieję, że masz suche gacie.

- Potraktuj to jak chrzest bojowy - dodała Annataly. - Zazwyczaj robimy go numerom, ale z braku laku...

Nike uśmiechnął się pod nosem, widząc rozbawione miny pozostałych, jednakże zaraz spoważniał. Chcieli zabawy, to ją dostaną.

- Powiedział pan, sir, dostępny komplet tabel. Czy to znaczy, że nie mamy wszystkich kodów...?

Z niekłamaną przyjemnością obserwował, jak pot rosi czoło ślicznej nawigatorki, jak Iarrey rzuca się do konsoli, a Morrisey ponownie blednie. Tym razem nie udawali.

* * *

Weszli do wraku najszerszą z wyrw. Dwa zespoły po dwie osoby plus roboty transportowe. Born poszedł z Jarrey'em. Do ich zadań należało zbadanie pokładów dolnych, a właściwie sektora, który nie został w tej części wraku doszczętnie zniszczony. Zespół drugi, czyli Morrisey i Nike miał sprawdzić część dziobową górnych pokładów pancernika. Na mostku „Nomada” nad przebiegiem operacji czuwała Annataly.

Przeszukiwali kabiny, korytarze i ładownie, pakując na drony transportowe każdą rzecz, której nie wyssało w przestrzeń tuż po katastrofie. Morrisey zdawał się nie przykładać zbyt wielkiej wagi do przeszukiwania i otwierania poszczególnych kabin, wciąż tylko sprawdzał odczyty na holopadzie i nim Nike kończył załadunek, znikał w kolejnym przejściu.

Dwie godziny standardowe po wejściu do wraku dotarli szybami wind do głównego korytarza łączącego mostek z podpokładami mieszkalnymi dla oficerów, które właśnie zakończyli przeszukiwać. Owalne, niemal nienaruszone sklepienie ciągnęło się na przestrzeni dziesięciu metrów, gdzie korytarz przecinała masywna gródź.

- Bingo - mruknął Morrisey szybując w głąb korytarza i oświetlając sufit sekcja po sekcji. - Mostek wygląda na nienaruszony. Ściągnij mi tu kodera i przenośny reaktor, ale migiem... - zapatrzonego w ścianę z litego helonu kapitan nie zwrócił przez moment uwagi na milczenie kadeta. W końcu jednak dotarło do niego, że tamten nie udzielił odpowiedzi.

- Co jest do... - odwracając się zauważył to, na czym spoczęły snopy światła z reflektorów kombinezonu Nike'a. Drzwi do jednej z wind były nie domknięte. W szczelinie tkwił but magnetyczny, wyraźnie widać było podkowy elektromagnesów.

- Nike? - głos Morriseya spoważniał. - Słyszysz mnie, chłopcze?

Nie było odpowiedzi, kadet nawet się nie poruszył.

- Nike, klonia twoja mać! - ryknął dowódca i to poskutkowało.

- Tak, sir?

- Na co się tak gapisz? Trupa nie widziałeś?

- Nie, sir, nie widziałem...

- No to masz już inicjację za sobą. - Morrisey podleciał pod same drzwi, wsunął rękawice w szczelinę i spróbował je poruszyć. Ani drgnęły.

- Annataly, słyszysz mnie? - przeszedł na częstotliwość mostka. - Potrzebuję drony remontowej.

Przez parę sekund nie było odpowiedzi, ale zanim zdążył się zniecierpliwic, nawigatorka odpowiedziała.

- Iarrey przebija się do jakichś pomieszczeń, skończy za pięć minut.

- Pięć minut, kurwa... - Kapitan nerwowo okręcił się i spojrzał na gródź. - Dobra, dawaj mi tu migiem koder a i generator. Mam też drzwiczki do otwarcia.

- Się robi - odpowiedź była krótka.

- A ty nie marnuj czasu i rusz dupsko. - Morrisey - klepnął kadeta w ramię. - Sprawdź wziernikiem, czy nie ma ich tam więcej.

Nike niechętnie wykonał polecenie. Podleciał ostrożnie do szpary i wsunął teleskopową kamerę do walcowatej kabiny. Po chwili miał obraz z wnętrza. Człowiek, którego but widzieli, był w windzie sam. Jego kombinezon przynajmniej od góry wyglądał na nienaruszony. Nike przekazał te informacje dowódcy. Tak jak się spodziewał, został zignorowany. Pogwizdujący wesoło Morrisey rozkręcał obudowę panelu skanera przy zamku. Nike powrócił do obserwacji wnętrza windy. Mimo iż szkolono go do walki,

obecność zabitego człowieka, a właściwie ciała leżącego dosłownie na wyciągnięcie ręki sprawiała, że czuł zimny dreszcz na plecach. W tej bitwie wielu zginęło w przestrzeni, wyspanych z rozhermetyzowanych kadłubów, inni spłonęli żywcem albo wyparowali w eksplozjach reaktorów czy amunicji, ale ten człowiek musiał umierać długo... Prawdopodobnie żył, dopóki nie skończyło się powietrze w butlach.

- I jak tam? - głos Morriseya, a w zasadzie światła jego kombinezonu wystraszyły zamysłonego Nike'a. - Pokaż no, co my tu mamy...

Kapitan przez chwilę sterował kamerą i nagle gwizdnął. Spojrzał w głąb korytarza, gdzie robot kodujący wpinał się do panelu grodzi. Masywny sześcian przenośnego generatora plazmowego został podłączony i rozbłysły wszystkie światła. Morrisey walnął ręką w przycisk przywołania windy, ale ta pozostała martwa. Mechanizm zamarzał przed stu laty, nie miał prawa działać.

- Anna... - ryknął w komunikator, jakby go coś ugryzło w tyłek. Tym razem odpowiedź była natychmiastowa.

- Dawaj mi tu tę dronę!

- Ale Iarrey jeszcze...

- No i nie skończy... Niech sobie pilniczkiem do paznokci Borna wytnie przejście. Mam tu coś bombowego i potrzebuję tej drony teraz!

- Się robi.

Nike patrzył zdziwiony na podenerwowanego dowódcę.

- Co pan tam zobaczył, sir? - zapytał w końcu miotającego się po całym korytarzu oficera.

- To jeden z wyższych rangą oficerów - odparł enigmatycznie Morrisey i zaraz dodał - Gdybyś uważniej przyjrzał się temu, co wystaje spod ciała, zobaczyłbyś obudowę czegoś, co może być holologiem „Odyna”. A to, mój drogi, rzecz warta na Ziemi niewyobrażalny majątek... I to ja ją wypatrzyłem, żeby nie było nieporozumień. - Dźgnął metalowym palcem w klatkę piersiową kadeta.

- Tak jest, sir!

Szyb windy, którym dostali się do korytarza, rozjaśnił bladoseledynowy blask. Masywna drona remontowa wyłoniła się z wnętrza i zamarła o pół metra od nich. Morrisey wsunął do czytnika końcówkę programatora i wielki robot poruszył się znowu. Masywne szczypcy wsunęły się w szparę. Przez moment nic się nie działo, przynajmniej z pozoru. W próżni nie słyhać żadnych dźwięków, ale odpryski farby z owalnych

drzwi uświadomiły obu mężczyznom, jak wielkie siły działają na ich powierzchnię. Morrisey odciągnął kadeta w głąb korytarza, jednakże nadal nic się nie działo. Mechanizm albo zamarzył na kamień, albo coś jeszcze blokowało drzwi.

- Tniemy - zawyrokował kapitan i maszyna posłusznie wysunęła palnik. Dwadzieścia sekund później niemal połowa metalowej płyty zamykającej dostęp do windy leżała pod ścianą, a Morrisey wyciągał zwłoki na korytarz. Tryumfalny wyraz twarzy zniknął jak zdmuchnięty, gdy kapitan zobaczył, co zabity trzyma w dłoniach.

- Szlag by go... - mruknął rzucając na podłogę panel prymitywnego notesu elektronicznego. - Pamiętniczek pana... - spojrzał na plakietkę - majora Visolaja, w dupę szarpanego niemoty, co do windy wsiąść nie umie. Co to za nazwisko, w ogóle?

- Może jest coś wart. - Nike podniósł notes i podłączył go do swojego zasilacza, ale ekran pozostał martwy. - Dam radę odtworzyć zawartość na „Nomadzie”.

- A kogo obchodzi, co sobie ten pajac zapisywał? - prychnął zirytowany Morrisey.

- Może znajdę coś ciekawego...

- Rozbierz go - zakomenderował nagle kapitan.

- Słucham?

- Powiedziałem, żebyś rozebrał trupa. Zdejmij mu skafander.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. Czas to pieniądz. Zabytkowy skafander pójdzie za dobrą cenę na Ziemi.

- Nie mogę... - Nike poczuł prawdziwe przerażenie na myśl, że będzie musiał dotykać martwego człowieka. - Nie możemy go tak...

- Możemy - przerwał mu Morrisey. - Rusz się, bo jeszcze mamy mostek do sprawdzenia.

- Nie... nie zrobię tego, sir!

- Zaczynasz mnie wkurwiać, kadecie. A kto mnie wkurwia, ten marnie kończy...

- Ja... ja po prostu nie mogę...

Zdawało się, że kapitan zaraz wybuchnie, ale zamiast tego podłączył się do drony, a gdy ta ruszyła z rozgrzewającymi się palnikami w kierunku grodzi, chwycił ciało za rękę i zaczął majstrować przy zamku hełmu.

- Powinniśmy mu zrobić pogrzeb według... - zaczął Nike.

- Nie ucz ojca dzieci robić - zgasił go kapitan. - Zrobimy mu pogrzeb jak trzeba, ale najpierw za niego zapłaci.

Sprawnie wyciągnął zasuszone zwłoki z wnętrza skafandra w upiornym blasku fontann błyskawicznie stygnących iskier z rozpruwanej grodzi. Nike odwrócił wzrok, by nie widzieć upiornej twarzy nieboszczyka, ale jego uwadze nie umknęło zachowanie Morriseya. Kapitan rzucił kombinezon do kontenera drony transportowej i raz jeszcze schylił się nad zabitym. Nie sięgnął jednak do szyi po nieśmiertelniki, tylko zaczął mocować się z ręką zabitego. Ściągał mu pierścień akademicki!

- Nic nie mów! - warknął, widząc wyraz twarzy kadeta. - Teraz jesteśmy z panem Visolajem kwita.

Wstał jakby nigdy nic, odrzucił kawałek palca, który oderwał razem z pierścieniem, i obejrzał go przez wizjer hełmu. - Prymusik, taki jak ty...

Nike nie odpowiedział, nadal czuł pogardę do swojego przełożonego, ale postanowił nie zaogniać sytuacji. Akademia uczyła też posłuszeństwa.

- O, tak - mruknął kapitan wracając do obserwacji planów statku na holowyświetlaczu. - Jeśli to trafienie - wskazał na oznaczony czerwonym kolorem sektor przecinający kadłub pod ostrym kątem - nie rozhermetyzowało wszystkich pomieszczeń podpokładu

dowodzenia, czeka na nas naprawdę wielka rzecz. Mostek, kabina Tahomeya... Wiesz, ile będzie warte jego prywatne archiwum?

Nike pokręcił głową wewnątrz obszernego hełmu, chociaż wątpił, czy rozmarzony Morrisey to zauważy, mimo że stali naprzeciw siebie.

- Chłopcze, mamy szansę na zdobycie fortuny, o jakiej nikomu się nie śniło.

- Czyli? - zapytał Nike bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z chęci zdobycia tej wiedzy. Bezczyenne stanie w rozświetlanym tylko snopami iskier korytarzu martwego okrętu przyprawiało go o dreszcze. Zwłaszcza w towarzystwie ciała majora Visolaja.

- Na Ziemi za oryginalne dzienniki admirała zapłacą... Tyle zdążył powiedzieć Morrisey, nim zagłuszył go głos Annataly.

- Kapitanie, mamy problem - powiedziała podporucznik jak zwykle bezbarwnym tonem, który dodatkowo zniekształcały efekty pracy robota.

- Precyzyjniej, Ann - warknął rozdrażniony kapitan.

- Mam na kursie kolizyjnym sporą część wraku rebelianckiej korwety...

- To zejdz jej z drogi albo potrenuj strzelanie do celu i nie zawracaj mi dupy takimi pierdołami! - rozłościł się Morrisey, obserwując postęp prac przy cięciu grodzi.

- Ale, sir... To kurs kolizyjny z wrakiem...

- Co?! - wrzasnął kapitan. Nawet przez zaparowany krystalit widać było, jak jego oczy lśnią. - Za pięć, sześć minut wejdziemy na mostek... Nie możesz rozwalić tego złomu? Zepchnij go chociaż z kursu o parę stopni...

- Obliczałam to już trzy razy. Nie ma szans - odparowała natychmiast nawigatorka. - To wybebeszona, ale prawie kompletna korweta klasy „Thor”. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy ton pieprzonego helonowego kompozytu i to całkiem solidnie rozpędzone...

- Zrób coś! - ryknął Morrisey. - Dam ci dodatkowe trzy... nie, czekaj, pięć procent!

- Macie osiem minut na wycofanie się w przestrzeń. - Głos Annataly był bezbarwny, jakby odpowiadał komputer, a nie żywa istota.

- Rozkazuję ci... - zaczął kapitan.

- Siedem minut, pięćdziesiąt pięć sekund...

- Do kurwy nędzy! Jesteśmy tak blisko celu!

- Siedem minut pięćdziesiąt sekund do zderzenia.

- Dlaczego, dziwko, wcześniej nie podałaś tego zamiaru!
- ryknął Morrisey.

- Bo obiekt wszedł na kurs kolizyjny dosłownie dwie minuty temu po zderzeniu z jakąś w dupę rżniętą asteroidą, która zamieniła się w obłok pyłu na moich oczach, durny fiucie! - tym razem odpowiedź z „Nomada” miała znamiona emocjonalne, ale zniknęły tak nagle, jak się pojawiły. - Drugi zespół już się wycofuje, sir.

- Daj mi pięć pieprzonych minut, tylko pięć minut i będziemy na mostku!

- W dwie minuty nie zdążysz go przeszukać, a potem i tak będzie już za późno, żeby skonsumować to, co masz na koncie. Tym razem nie skończy się na jednej ręce...

Zaniepokojony Nike podszedł do dowódcy i położył mu dłoń na opancerzonym ramieniu.

- Wrócimy tu po zderzeniu - powiedział. - Może da się...

- Gówna prawda - zachnął się Morrisey. - Wiesz, co uderzenie ćwierć miliona ton metalu zrobi z tym wrakiem?

- Może niewiele - odparł spokojnie Nike. - Zależy, jak szybko leci i pod jakim kątem...

- Jak znam Ann, to kurewsko szybko - mruknął kapitan spoglądając na rękawicę, która kryła jego protezę. - Inaczej

nie robiłaby takiego rabanu.

- Zajebicie kurewsko szybko, a nawet jeszcze szybciej - weszła mu w słowo podporucznik. - Zderzenie najprawdopodobniej doprowadzi do destrukcji obu wraków. W najlepszym razie resztki zostaną wypchnięte poza strefę i dostaną się w atmosferę Czwartej. Zabierajcie stamtąd dupy, póki jest szansa na przeżycie. Sześć minut dwadzieścia sekund.

Morrisey splunął, po prostu splunął na wewnętrzną powierzchnię krystalitowego hełmu, po czym wprowadził sekwencję przerywającą pracę robota. A potem... potem kopnął z całej siły wysuszone ciało majora.

- To przez ciebie, durny skurwielu. Przez ciebie... Nike przez moment nie wiedział, co robić. Polecieć za szybującym w głąb korytarza martwym żołnierzem, czy pomagać w rozłączaniu robotów. Morrisey rozwiązał ten dylemat wciągając go na dronę remontową, która już ruszała w kierunku windy. Uchwycili się jej ramion i po chwili mknęli łukowatymi korytarzami w kierunku najbliższej wyrwy. Nike ściszył komunikator prawie do minimum, by nie słyszeć wielopiętrowych przekleństw dowódcy opisujących spisek martwego majora, niezdarnej załogi i wszystkich bogów,

jakich znał świat.

Wyszli w przestrzeń dosłownie na półtorej minuty przed zderzeniem obu kolosów. Morrisey nadal klnąc przez zaciśnięte szczęki nie odwrócił się nawet, by popatrzeć na tak nieprawdopodobne zjawisko. Nike wręcz odwrotnie, nie mógł oderwać od niego oczu.

- Jak to możliwe, że komputery nie obliczyły wcześniej możliwości tego zderzenia! - Od katastrofy upłynęła prawie godzina, ale kapitan nadal nie mógł się uspokoić.

- A jak można obliczyć z dużym wyprzedzeniem wypadkową wzajemnych trajektorii miliona elementów? - powiedział po raz chyba pięćdziesiąty Iarrey. - Analizowałem dane z ostatnich minut kilka razy. Nie mogliśmy tego przewidzieć w żaden sposób. To był ciąg kolizji zapoczątkowanych, uśmiejcie się, wejściem „Nomada” na skraj wrakowiska. Szczątki odepchnięte przez pola deflektorów zapoczątkowały proces, który skończył się tym... - wskazał na nędzne resztki, które kiedyś miały kształt dumnych przestrzennych okrętów wojennych.

Morrisey spojrział na niego z wyrzutem. Nic nie powiedział, ale sam wzrok wystarczył, żeby Iarrey zamilkł. Na ekranie wciąż widzieli wirujący obłok pyłu, w którym

zniknęły pozostałości obu wraków, a wraz z nimi nadzieje na odnalezienie najcenniejszych przedmiotów należących do admirała Tahomeya. Przedmiotów, które każdemu z członków załogi zapewniłyby dostatnie życie przez wiele lat...

- I tak mamy sporo łupów w ładowni - mruknął pojednawczo Born.

- Kupę gówna!

- Kupę wartego spory majątek, antycznego gówna - odparowała Annataly. - Jeszcze nigdy się tak nie obłowiliśmy. Sam to mówiłeś przed zderzeniem.

Kapitan spojrzał na nią z wyrzutem.

- Wiesz, co mogliśmy znaleźć w apartamentach Tahomeya?

Pokręciła głową.

- Za jego osobisty dziennik pewni ludzie zapłaciliby równowartość tego statku... albo i więcej.

- Trzeba było zacząć od mostka - przygadała mu nawigatorka.

- Nie wkurwiał mnie, Annataly... - westchnął kapitan opadając na swój fotel. - Rozpoczęcie od mostka to jak... jakby zjeść obiad zaczynając od deseru.

Nike uśmiechnął się pod nosem. Podporucznik miała

rację, stary sam był sobie winien, gdyby nie okradał zabitych...

- Pech, po prostu pech - powiedział pojednawczo Iarrey, na wszelki wypadek wchodząc za najbliższą konsolę. - Nie mogliśmy nic na to poradzić, sir. Siła wyższa.

- Jaka tam siła wyższa... - Kapitan pokręcił głową i nagle roześmiał się nerwowo. - Nie wiecie, kto tu, kurwirtual, jest Bogiem?

- Pan, sir - mruknęła Annataly.

- Dokładnie - potwierdził Iarrey.

- Nie bluźnij, Henrichard - obruszył się milcząco do tej pory ojciec Pedroberto. - Zróbmy, co do nas należy, i cieszymy się tym, co mamy... Co się stało, to się nie odstanie, a okazji do zarobku będzie jeszcze wiele. Ważne, że nikomu nic się nie stało.

Morrisey odwrócił się od ekranu, na którym kolejne szczątki pancernika i korwety zaczynały płonąć w górnych warstwach atmosfery czwartej planety systemu 3a13. Wyglądał jak dziecko, któremu ktoś właśnie powiedział, że nie dostanie zabawki, którą wypatrzyło sobie w ofercie Holonetu.

- Amen - powiedział zaciskając kurczowo zarówno

zdrową rękę, jak i protezę.

Nike przyglądał mu się z odrazą, ale i ciekawością. Nagle w kapitanie nastąpiła nieoczekiwana przemiana.

- Zabierajcie się do roboty! - krzyknął. - Posprzątać mi ten bajzel, zanim do reszty się rozlezie.

- Kolapsary ustawione i gotowe do odpalenia - zameldował uśmiechnięty Jarrey i puścił oko do Annataly. - Według moich obliczeń dwa średniej mocy powinny wystarczyć na skupienie całego śmiecia z „dołka”. Wprowadziłem już koordynaty.

Morrisey wyprostował się w fotelu i szybko przejrzał ekrany monitorów.

- Wykonać! - rzucił krótki rozkaz i już wiedzieli, że mają przed sobą tego samego, starego, sprawdzonego dowódcę. Chimerycznego, ale twardo stąpającego po ziemi.

Lekkie, ale wyczuwalne w kabinie wstrząsy towarzyszyły odcumowaniu obu kolapsarów. „Nomad” miał ich w sumie osiem. Dwa lekkie, cztery średnie i dwa największej mocy. Nike niewiele słyszał o tych niezwykle wydajnych, a zarazem prostych urządzeniach, które poza Korpusem Utylizacyjnym praktycznie nie miały zastosowania. Kolapsary służyły tylko do jednego - umieszczone w pobliżu przestrzennych śmietnisk

przyciągały jak magnes, a może raczej jak czarna dziura, bo to bardziej pułapka grawitacyjna niż magnetyczna, każdą drobinę materii. Od kosmicznego pyłu po najpotężniejsze asteroidy i wraki antycznych pancerników. A gdy mierniki kolapsara zarejestrowały zatrzymanie przyrostu masy, w ciągu jednej milionowej części sekundy urządzenie zamieniało otaczające je kosmiczne śmiecie w nieszkodliwy obłok radioaktywnego gazu albo wyruszało z nimi w drogę ku najbliższej gwiazdzie systemu. Średni kolapsar miał moc około stu gigaton, gdyby przeliczyć to na energię klasycznych ładunków nuklearnych. Duży dochodził nawet do kilkunastu teraton, ale dużych nikt nie używał w pobliżu zamieszkałych planet. Co najwyżej likwidowano nimi większe skupiska asteroid zbliżających się do skolonizowanych systemów.

Właśnie w tej chwili dwa takie urządzenia, doskonale widoczne na ekranach „Nomada”, sunęły majestatycznie na wyznaczone pozycje. Jeszcze kilkanaście minut i wokół nich zaczną się tworzyć miniaturowe modele spiralnych galaktyk, w których miejsce gwiazd zajmują odrobiny kosmicznego pyłu, a zamiast konstelacji widnieją fragmenty wraków.

Zafascynowany tym widokiem Nike skupił całą uwagę na jednej ze złotych piramid, wokół której już zaczynały się

gromadzić mniejsze odłamki. Nie trwało to wszakże długo, nagle obraz zamigotał i tam, gdzie przed chwilą był wirujący obłok szczątków, pokazała się czysta przestrzeń i wisząca w dużym oddaleniu martwa planeta.

- ...to, kurwirtual ma być? - wracając między żywych usłyszał końcówkę zdania wypowiedzianego przez Morriseya.

- Przed odlotem dokonałem rutynowego sprawdzenia danych z pozostałych „dołków” w tym systemie - tłumaczył spokojnie Jarrey. - Nad ósmą sondy wykryły drugie skupisko wraków.

- Jakich znowu wraków? - pieklił się kapitan. - O ósmą nikt nie walczył. Tu się bili, o jedyny pieprzony punkt tranzytowy w sektorze. Nie ma nic, żadnych zapisów ani z naszych archiwów, ani ze strony Zbuntowanych Systemów na temat jakiegokolwiek aktywności bojowej w tamtym rejonie!

- Wiem, sir, sam je przygotowywałem dla pana, ale te odczyty nie kłamią - pierwszego najwyraźniej nie ruszała przemowa kapitana i powoływanie się na archiwa admiralicji.

- Sondy zlokalizowały w ósmym „dołku” ponad siedemnaście milionów ton śmiecia.

- Pewnie jakieś zasrane pole asteroid. - Morrisey pogardliwie wyduł wargi.

- Dopiero zbieram odczyty, ale wstępne dane świadczą o bardzo dużej zawartości metali - nie dawał za wygraną Iarrey

- A słyszałeś o rudach kopalnych? - Dowódca oklapł w fotelu i ponownie splunął na podłogę. - Może to jakiś rozpięrolony przez asteroidę żelazny księżyc ósemki.

- Sprawdziłam, sir - wtrąciła Annataly - Schemat systemu pasuje w stu procentach do danych z atlasu w okresie rejestrowania systemu.

- Kochanie, wszechświat jest starszy niż najstarsze atlasy - jęknął Morrisey. - Bitwa, w której obie strony straciłyby tak wielki tonaż, musiałaby odbić się szerokim echem. Na mój gust to zwykłe, żelazne asteroidy... Zapadła cisza, jednakże nie na długo.

- Ma pan rację, sir - przemówiła znów nawigatorka. - Ale i tak musimy tu tkwić, dopóki oba kolapsary nie zrobią swojego.

- A to zajmie jakieś... - Iarrey dokonał szybkich obliczeń - dwieście siedemdziesiąt dwie godziny najmarniej, jeśli weźmiemy pod uwagę moment wyprowadzenia zebranej masy na kurs terminalny. Trzydzieści sześć, jeśli zdecydujemy się na dezintegrację.

- Możemy zostawić kadetów i kilka sond V dla

nadzorowania procesu - poparła go podporucznik. - Zdążymy dolecieć na orbitę Ósmej, zanim nastąpi aktywacja ładunków.

- Nie możemy rozpieprzyć tego gówna nad Czwórką - wtrącił Nike. - Zgodnie z wytycznymi Sztabu Sektora system jest przewidziany do ponownego zasiedlenia.

- Zatem mamy dwanaście dni standardowych na leniuchowanie - dodała Annataly. - Dwanaście dni nudy, spania albo sprawdzania tamtego „dołka”.

Morrisey prychnął.

- Nie będziemy uganiać się po całym systemie za jakimiś mrzonkami.

- Może jednak znajdziemy tam coś wartościowego? - zapytała z przymilnym uśmiechem. - Coś, co zrekompensuje nam porażkę z „Odyna”.

Kapitan wbił wzrok w centralny ekran, jakby z tak dużej odległości mógł cokolwiek wypatrzeć.

- Nic nie zrekompensuje mi utraty szansy na znalezienie dziennika Tahomeya - powiedział po chwili. - Możesz mi, dzióbku, wierzyć, że w tej części kosmosu nigdy nie było niczego cenniejszego z naszego punktu widzenia. Ale dobrze, skoro poprawi wam to humor, polecimy tam. Stachursky, siądziesz do archiwum i sprawdzisz jeszcze raz wszystkie, ale

to wszystkie, zapiski na temat tego systemu. Zwłaszcza zachowane rejestry punktu tranzytowego. Nie wyłączając prywatnych listów służących tu przed wojną ludzi. Born, ty zajmiesz się opracowaniem danych ósmego „dołka”. Zanim dolecimy na nową orbitę, chcę mieć kompletne raporty na biurku... - przerwał na chwilę i zmierzył wszystkich ponurym wzrokiem. - Wiem, że marnujemy czas, i dlatego ustalmy jeszcze jedno: jeśli nie będzie tam nic ciekawego, macie wszyscy z głowy po trzy procent udziałów z tej wyprawy.

- A jeśli będzie? - zapytał niespodziewanie dla wszystkich Nike.

* * *

Dotarcie na peryferie systemu trwało nieco dłużej, niż zakładała Annataly. Po dwustu godzinach minęli dopiero orbitę Szóstej. Kapitan Morrisey coraz rzadziej odwiedzał sterownię. Zajął się tym, co lubił najbardziej. Wraz z Iarrey'em i kapelanem rozpoczął katalogowanie zdobyczy. Dwa dni później pierwszy, co prawda nieoficjalnie, potwierdził, że już wstępne oszacowanie wartości „znalezionych” we wraku przedmiotów pozwala sądzić, iż zdobyli na pokładzie „Odyna” prawdziwą fortunę. Suma, jaką wymienił w mesie, oszołomiła Nike'a. Omal nie zadławił się

papką mięsną podczas obiadu, gdy konfidencjonalny szept oficera dotarł do jego uszu. Na pozostałych nie zrobiło to wielkiego wrażenia. Zostawił ich zatem w świetnych humorach i ruszył do swojej kabiny z kolejną porcją danych do analizy. Mieszkał na dolnym pokładzie, tam gdzie pozostali kadeci, z tym że przydzielono mu kajutę w centralnym sektorze, z dala od wciąż uśpionych Numerów, jak sam już zaczął pogardliwie określać swoich niedawnych towarzyszy niedoli.

Wszystko, co działo się na pokładzie „Nomada”, kręciło się wokół pieniędzy i antyków. Nike'a nigdy wcześniej nie interesowały starocie. W jego domu nie było niczego, o ile pamiętał, co wiązałoby się z odległą przeszłością. Żadnych portretów przodków, pamiątek sprzed wojny. Jak większość obecnych mieszkańców planety matki rodzice Nike'a pochodzili z odległych sektorów i zostali przeniesieni w uznaniu zasług do serca cywilizacji. Nike pochodził z bogatej rodziny, wczesną młodość spędził jednak z dala od Ziemi, na planetoidach, gdzie ojciec pracował w zarządzie kompani wydobywczej. Tam żyło się dniem codziennym. Górnicy pochodzili przeważnie z biednych regionów, w których nikt nie kultywował tradycji, i rzadko znali opowieści o czasach

starszych niż własne dzieciństwo.

Wiele przebywał między tymi twardymi jak skały, które kruszyli, ludźmi. Wiele razy przeglądał zawartość kontenerów osobistych, zanim trafiły do spalarki zaraz za zwłokami ich właścicieli. Prócz kilku starych hologramów, w większości nieruchomości, przedstawiających bliskich albo rodzinne strony nie widział tam niczego szczególnego. Zastanawiał się, dlaczego ci ludzie nigdy nie mieli niczego wartego zainteresowania, przecież nie zarabiali najgorzej... Nie wierzył wtedy, że pozostali górnicy dzielili się dobytkiem zabitego bądź zmarłego kolegi, a do kontenera trafiały tylko nie interesujące nikogo, bezużyteczne rzeczy. Dzisiaj takie rozwiązanie wydało mu się więcej niż prawdopodobne. I może na swój sposób słuszne... choć nadal nie akceptował takiego postępowania w kategoriach moralnych.

Zaraz po katastrofie wraku Nike zagłębił się w archiwa i nie pokazywał się we wspólnej części statku poza porami posiłków i rzadkimi odprawami. Wybrał zacisze swojej kabiny, gdzie mógł spokojnie wertować kolejne wirtualne tomy akt. Jednakże była to praca więcej niż bezowocna. Czwartą zasiedlono pięć lat przed wybuchem wojny, i to tylko ze względu na idealną lokalizację stacji tranzytowej, której

budowa stała się konieczna po rozpoczęciu kolonizacji nowego sektora galaktyki. Systemu planetarnego nie przebadano dokładnie poza strefą ekosfery obejmującą zaledwie dwie planety kategorii szóstej. Nie nadano im nawet zwyczajowych nazw pozostając przy katalogowych numerach z atlasu. Na peryferie i do pasa wewnętrznego wysłano wprawdzie kilka sond, ale nie zdążyły one przesłać zbyt wielu danych przed wybuchem wojny. Praktycznie rzecz biorąc w archiwach znajdowały się informacje potwierdzające fakt istnienia ósmej, najdalszej planety systemu, ale Nike nie znalazł tam nic prócz tego, jaką ma orbitę i przybliżoną masę. Żadnych raportów, żadnych uwag. Parę miesięcy po wpisaniu planety do rejestru dalsza penetracja systemu 3a13 przestała być ważna.

Przekopywanie się przez terabajty prywatnej korespondencji załogi stacji tranzytowej, nawet z tak doskonałymi wyszukiwarkami jak te znajdujące się na wyposażeniu admiralicji, również nie przyniosło żadnych rezultatów. Zatrudnieni na niej ludzie bardziej interesowali się losami odległych światów, z których pochodzili, niż najbliższym otoczeniem. Nawet Czwarta, trzeba przyznać niespecjalnie gościnna, nie budziła ich zainteresowania, co

więc mówić o najodleglejszych zakątkach systemu.

Nike spojrział na zegar, było już dawno po północy czasu pokładowego. Zasiedział się nad dokumentami. Oczy piekły i same się zamykały. Nie potrafił skupić się na treści kolejnych wyławianych przez komputer listów, notatek, raportów... Odłożył czytnik, zgasił światło i ułożył się wygodniej na koi. Oczy zamknęły się same i znów zobaczył kamienną ścianę i wąski wykusz, a za nim niebo i smoki baraszkujące wśród chmur...

- Posuń się...

Nie zareagował. Nigdy nie reagował za pierwszym razem, gdy Monicatherine go prowokowała.

- No, posuń się...

Tym razem słowom towarzyszyło lekkie szturchnięcie w ramię. Posłusznie odwrócił się na bok. Usłyszał szelest pościeli i po chwili poczuł delikatny dotyk jej palców, które przesuwały się po udzie, drażniąc każdy włos. Znajome ciepło rozlało się po nogach i plecach, tam gdzie ciała przylegały najdokładniej. Znajome ciepło, za którym tak tęsknił, i ten niepowtarzalny zapach jej rozgrzanej skóry...

Zerwał się, sięgając do kontaktu. Zaskoczona tak gwałtowną reakcją Annataly spadła z wąskiej koi, mimo

poręczy, i z głośnym stukotem wylądowała razem z kocem na podłodze. Usłyszał jej zduszony jęk.

- Co robisz, idioto - syknęła chwilę później, starając się równocześnie rozcierać stłuczony łokieć i zasłonić oczy.

- Zgaś to cholerne światło.

Nie zareagował. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. Siedziała całkiem naga na środku podłogi teraz dla odmiany ssąc skaleczony palec. W lekkim półmroku widział ją dokładnie. Mimo czterdziestu paru lat rzeczywistych miała nadal dziewczęcą sylwetkę. Wcięcie w pasie, szczupłe długie nogi, płaski brzuch i całkiem spory, ale wciąż jędrny biust. Wszystko, co atrakcyjnej kobiecie jest potrzebne, by przyciągnąć uwagę mężczyzny. Może tylko była nieco za bardzo umięśniona, pod skórą nie miała tej warstewki tłuszczu, która sprawiała, że ciało Moni było takie...

- Napatrzyłeś się już, krzyczący Romeo? - zapytała szeptem, przestając na moment ssać stłuczoną do krwi kostkę palca wskazującego.

- Co tu robisz? - odpowiedział pytaniem.

- A jak sądzisz? - roześmiała się, najciszej jak potrafiła. - Sprawdzam, czy nie warto zboczyć nieco z kursu...

- Nie ma szans. - Nike usiadł w kącie koi i podciągnął

nogi. - Lepiej się ubieraj i znikaj, zanim stary zacznie cię szukać.

Nawigatorka wstała, ale nie sięgnęła po koszulę, która jak zauważył teraz Nike, leżała na podłodze przy drzwiach.

- Nie masz ochoty dowiedzieć się, dlaczego Morriseyowi tak bardzo na mnie zależy? - zapytała i przeciągnęła się zmysłowo.

Za zmysłowo...

Z trudem oderwał od niej wzrok. Zwłaszcza że w prześwicie pomiędzy górną koją a poręczą widział teraz tylko tę część jej ciała, która najbardziej pociąga wyobraźnię mężczyzn.

- To, na co mam ochotę, niespecjalnie się teraz liczy... - powiedział ostrożnie i oblizał wargi, czego na szczęście nie mogła zobaczyć.

- Nie przestraszyłeś się chyba tego, co powiedział Henrichard? - zapytała pochylając się tak, by widzieć jego twarz.

On z kolei nadal wpatrywał się w jej piersi, kołyszące się na wyciągnięcie ręki.

- Skądże znowu... To przecież taki dobrotliwy starszy pan, co on może mi zrobić... - Nike zachichotał. - W takim

razie ciekawe, dlaczego szepczesz?

Wyraz rozbawienia zniknął z jej twarzy. Gdyby spojrzenie mogło zabijać...

- Drugiej szansy nie będziesz miał - syknęła, ale nie ruszyła się nawet o milimetr. Mógłby przysiąc, że jej równo przycięte włosy łonowe były tak samo czarne, jak te na głowie. I też miał je na wyciągnięcie ręki...

- Może to i lepiej... - odparł. - Przyzwyczaiałem się do tego popieprzonego świata i wolę się z nim chwilowo nie żegnać, zwłaszcza że jestem chyba całkiem bogaty.

Teraz zareagowała właściwie. Schyliła się po koszulę. Założyła ją nie zapinając, potem sięgnęła po rzucone obok majtki. Z rozbawieniem zauważył, że nie była to regulaminowa bielizna floty.

- Nie rozumiem cię, Nike - powiedziała, zapinając dwa górne guziki koszuli. - Wolisz tę maszynkę? - wskazała ruchem głowy kabinowy fantomator.

- Nie, prawdę mówiąc wolę kobiety z krwi i kości - odpowiedział z zagadkowym uśmiechem. Pewnie by się zdziwiła, gdyby wiedziała, jak wygląda najczęściej używany fantom implantowany do tego urządzenia. - W innych okolicznościach, w innym czasie, to pewnie ja byłbym twoim

gościem...

- W innych okolicznościach? Liczysz na to, że twoja gołąbeczka będzie na ciebie czekała? - uderzała tak, żeby zabolalo, jak każda kobieta. Jednakże nie trafiła. W każdym razie niecelnie.

- Nie, na to akurat nie liczę - odparł bez chwili zastanowienia. - Prawdę mówiąc, z jej powodzeniem, na pewno nie budzi się sama... Kto by czekał na... śmieciarza...

- To dlaczego nie skorzystasz z szansy na prawdziwą przygodę? - zabrzmiało to nawet szczerze. Szczerzej niż stwardniałe sutki, które mogły być efektem chłodu panującego w kabinie.

- Bo to bilet w jedną stronę. - powiedział zrezygnowany.
- Raz już sięgnąłem po owoc zakazany...

- I to cię czegoś nauczyło? - w tym pytaniu więcej było sarkazmu niż ciekawości.

- Owszem... - odparł, pokazując jej głową wyjście.

Nie patrzył za nią, gdy wychodziła. Syk zasuwanych drzwi powiedział mu, kiedy został sam. Siedział jeszcze przez moment w pozycji, w jakiej dla lepszego efektu zastygł, po czym zdecydowanym ruchem zeskokczył na podłogę kabiny. Podszedł do drzwi i z wahaniem położył dłoń na panelu

zamka.

Na korytarzu było znacznie jaśniej, musiał zmrużyć oczy. Ale i tak ją zobaczył niemal od razu. Stała na wprost niego, podparta pod boki z tryumfującym uśmiechem na twarzy.

- Nasz pan i władca topi teraz swoje żale po straconych skarbach w takich ilościach bimbrow, że strach zapalić przy nim zapałkę... - szepnęła podnosząc prawą dłoń tak, by widział koronkowe majtki, którymi obracała na palcu wskazującym.

Nie odpowiedział, po prostu wciągnął ją bezceremonialnie do kabiny zamykając usta pocałunkiem.

* * *

Ósma okazała się nieregularną bryłą martwej skały o masie dwudziestokrotnie mniejszej niż Ziemska. Okrążała swoją gwiazdę w takiej odległości, że z trudem można ją było odróżnić od konstelacji widocznych w tym sektorze przestrzeni.

Morrisey spoglądał przekrwionymi oczyma na planetę, żując coś nieustannie, i słuchał kolejnych raportów. Sonden poszły godzinę wcześniej i za chwilę mieli otrzymać bezpośredni przekaz z „dołka”. Nike już dawno skończył swój raport. Jedyne co udało mu się odkryć, to informacja wskazująca, iż skupisko istniało już w momencie zasiedlania

systemu. Analiza danych z sondy, która dotarła na orbitę Ósmej przed zniszczeniem stacji tranzytowej, wskazywała na istnienie w „dołku” śmietnika o podobnej masie. Przed stuleciem nikt nie zajął się analizą tych danych, potem utonęły w terabajtach innych informacji i najzwyczajniej w świecie zapomniano o nich.

- Mówiłem, że to bezsensowna strata czasu - powiedział kapitan, ledwie pierwszy rozpoczął prezentację dostępnych danych. - Za kilka minut zobaczycie na własne oczy, że to pozostałości jakiegoś pieprzonego kawałka napakowanej rudy żelaza skały.

- Nie wydaje mi się - odparł jak zwykle spokojny Jarrey.

- Doprawdy? - rozbawienie nie zniknęło z twarzy Morriseya.

- Porównywałem te dane z analogicznymi wynikami zebranymi z kilkuset pasów asteroid, w tym z najbardziej wydajnych złóż kopalnych, jakie znamy...

- I cóż pan takiego odkrył, panie pierwszy? - zainteresował się dowódca.

- Zawartość pierwiastków rzadkich i ciężkich w tym miejscu jest co najmniej dziesięciokrotnie wyższa niż w wypadku najbardziej nasyconych złóż, sir.

Morrisey odwrócił się. Z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że nawet stukrotne przebicie nie miałyby znaczenia.

- Z całym szacunkiem, panie Jarrey, jeśli nawet mamy do czynienia z asteroidami składającymi się z rud metali w najczystszej formie, to i tak jest ich tysiąckrotnie za mało. Jaka kompania zbuduje tutaj całą infrastrukturę wydobywczą dla tak małej ilości surowców.

- Ja nie mówiłem, że to...

- Mam obraz - przerwała rozmowę Annataly i sterownia natychmiast pogрузzyła się w ciemności.

Najpierw dostali panoramę całego „dołka”. Plastikowy obraz otaczającej ich przestrzeni wypełniały miliony niewielkich, trudnych do opisanía odłamków krążących wokół ogromnej nieregularnej bryły bardziej przywodzącej na myśl pokryty liszajami porostów kamień niż asteroide.

- Mówiłem, że to pozostałości po jakimś zderzeniu - mruknął Morrisey. - Daj zbliżenie na skraj. Anna, wybierz jeden kamyk i powiększ go na maksa.

- Robi się.

Sekundę później kamery kilku sond zogniskowały obiektywy na wybranym celu.

- W dupę klona... - chyba wszyscy wypowiedzieli to jednocześnie.

Na monitorze wirował fragment jakiejś konstrukcji. Co do tego nie było dwóch zdań. Mimo potwornych zniekształceń nadal dało się rozróżnić kilka charakterystycznych elementów.

Natura nie wytwarza wewnątrz kamieni wsporników, przewodów, rur.

- Daj namiar na coś innego... - poprosił po chwili kapitan.

Obejrzeni jeszcze z dziesięć podobnych fragmentów - tylko jeden z nich był najzwyklejszym w świecie odłamkiem skały. Pozostałe w mniejszym bądź większym stopniu zdradzały sztuczne pochodzenie.

- Czas na tatusia - powiedział nagle ożywiony Morrissey. - Zobaczymy, kto siedzi w środku tej pajęczynki.

Kamery przełączyły się natychmiast na następny cel. Ogromna nieregularna bryła zajęła czołowe płyty ekranów. Obracała się powoli wzdłuż pionowej osi zgodnie z kierunkiem ruchu wszystkich drobin, które ją otaczały. Po widoku ogólnym przeszli na zbliżenia konkretnych fragmentów, ale tu czekało ich rozczarowanie. Powierzchnia obiektu była w każdym miejscu taka sama. Przypominała skórę prehistorycznego gada. Morze niekończących się

pęcherzyków pokrywało każdą krzywizną bryły prócz sześciu wypukłych kręgów rozmieszczonych równomiernie na całej powierzchni.

- Nieco dziwny, ale chyba całkiem martwy kamień - zawyrokował Morrisey po kilku kolejnych, identycznych ujęciach.

- Nie wydaje mi się... - powiedział Nike, uważnie przypatrując się regularnym bąblom pokrywającym kopulasty fragment badanego obiektu.

- Precyzyjniej proszę, panie Stachursky! - Kapitan zaszczyił Nike'a jednym ze swoich typowych spojrzeń.

- A czy widzieliście na powierzchni tego... czegoś choć jeden krater poudzeniowy?

- Młody ma rację... - Iarrey dopadł konsoli i zaczął coś szybko wpisywać.

- Co znaczy: ma rację? - Zdezorientowany kapitan zerknął na ekran sprawdzając, co oblicza pierwszy.

- To znaczy, że w otwartej przestrzeni jest tylko jeden rodzaj obiektów, które nie mają śladów po kolizjach... i są to... statki chronione polami deflekcyjnymi.

- Mylisz się, Iarrey - powiedział chłodno Morrisey.

- Nie myślę się, sir - zaprotestował pierwszy oficer.

- Gwiazdy też nie mają kraterów...

Pierwsza nie wytrzymała Annataly, roześmiała się w głos, zawtórował jej Born, a chwilę później w ich ślady poszli wszyscy, nie wyłączając zaskoczonego Iarreya.

- Przepraszam, sir, ma pan bezwzględność rację, sir. Są dwa rodzaje takich obiektów - przyznał po chwili pierwszy.

- Trzy... - Nike wypowiedział to słowo, nie przestając się śmiać.

- Słucham?

- Na gazowych gigantach też nie widać efektów uderzeń... Po pewnym czasie rzecz jasna.

- Dość tych przekomarzań! - Morrisey wskazał widoczny na ekranie obiekt. - Chcę mieć pełną analizę tego gówna, i to już! Jeśli te rebelianckie śmieci potrafiły zrobić coś takiego, to nie...

- To nie robota separatystów - wpadła mu w słowo Annataly.

- A czyja?

- Nike znalazł dane mówiące o tym, że sondy w okresie kolonizacji systemu zarejestrowały to skupisko w pobliżu Ósmej, prawda?

- Zatem kto mógł coś takiego skonstruować? - Morrisey

zaśmiał się obleśnie. - Przecież nie obcy.

- A niby dlaczego nie? - zapytał Nike.

Nikt nie potrafił mu na to pytanie sensownie odpowiedzieć. Nikt też nie protestował - ojciec Pedroberto spał już smacznie w swojej kabine kriogenicznej, śniąc zapewne o zdobytym właśnie bogactwie. Kapelan trafiał do niej zazwyczaj natychmiast po zakończeniu modlitwy za tych, co odeszli, i obliczeniu wartości łupów, chyba że działo się coś ciekawego. Wyprawa na orbitę Ósmej nie była dla niego niczym szczególnym, podzielał w pełni zdanie kapitana na ten temat. Zresztą gdyby do czegoś doszło, Morrisey i tak powinien go obudzić. Niemniej kapitan, przynajmniej na razie, nie zamierzał tego czynić... Czego jak czego, ale religijnego bełkotu potrzebowali teraz najmniej.

- Spójrzcie na to! - Iarrey kilka sekund później wskazał na ekran.

Zbliżenie pokazywało jedną z kopułowatych narośli, jakie zdobiły całą powierzchnię bryły. W jej kierunku powoli dryfował mały fragment skały, a może raczej zniszczonej konstrukcji. Z tej odległości trudno było to właściwie ocenić. Odłamek zbliżał się dość wolno do widocznej w oddali ściany. Dzieliło go od niej jeszcze około pięćdziesięciu metrów, gdy

nagle kopuła pojaśniała minimalnie i intruz powoli wyhamował zatrzymując się na chwilę, dosłownie tuż nad jej powierzchnią, i jak odepchnięty magnesem ruszył w kierunku pasa podobnych mu odłamków.

* * *

- Tego obiektu na pewno nie zbudowały ludzkie ręce... - powiedział Jarrey sześć godzin później, kiedy patrzyli na holograficzny model artefaktu. - Technologia, jakiej użyto do wytworzenia tego... czegoś...

- Nazwijmy to stacją - zaproponował Born.

- Nie sądzę, żeby to była stacja - obruszył się pierwszy

- To raczej klasyczny statek nadprzestrzenny.

- Skąd ta pewność? - zapytał Morrissey.

- Nie pewność, jedynie przypuszczenie na podstawie analiz porównawczych. Sądzę, że to co widzimy, to jeden z członów większej jednostki. Jedyny, jaki ocalał z katastrofy, która miała tu miejsce około pięćdziesięciu tysięcy lat ziemskich temu.

Kapitan gwizdnął i opadł na oparcie fotela.

- Pięćdziesiąt tysięcy lat? Nie myli się pan, panie pierwszy?

- Sprawdzaliśmy to z Annatą trzykrotnie na każdej

pobranej próbce. Za każdym razem komputery podawały zbliżone rezultaty. Od czterdziestu tysięcy dziewięciuset do pięćdziesięciu tysięcy pięćdziesięciu lat. To dopuszczalny margines błędu pomiaru.

- Jak rozumiem, dotyczy tego śmiecia - kapitan machnął ręką wsuwając dłoń w holograficzny obraz dysku otaczającego artefakt.

- Według naszych ustaleń duża część tych szczątków należała do jednostki, która nas interesuje. Znaleźliśmy wśród nich fragmenty, których wygląd sugeruje, że pochodzą z identycznego pancerza jak ten, który widzimy tutaj - wskazał na centralną bryłę. - Najprawdopodobniej był to zewnętrzny moduł napędowy. W dolnej części obiektu, jeżeli za poziom przyjmiemy płaszczyznę, po jakiej poruszają się wokół niego szczątki, znaleźliśmy jedyne wklęsłe miejsce i szereg wystających, jakby stopionych elementów. Podobne technologie stosowano w pionierskich czasach podboju kosmosu, jeszcze przed napędem podprzestrzennym.

Iarrey włączył następną holoprojekcję. Tym razem gruszkowaty artefakt widoczny był w poziomie, a z jego węższego końca wystawała długa kratownica, na której znajdowała się czasza ogromnego silnika.

- Oczywiście to wcale nie musiało tak wyglądać, zastosowałem w tym projekcie rozwiązania podobne do znanych z naszej historii, ale sądzę, że o coś takiego mogło chodzić. Silniki główne, reaktory i zbiorniki paliwa na pewno oddzielono od głównego kadłuba. Mamy w tym skupisku zbyt duże promieniowanie, żeby to był przypadek.

- A to wgłębienie? - zapytał Morrisey wskazując miejsce, gdzie rzekome dźwigary wychodziły z kadłuba.

- Pojęcia nie mam.

Zapadła cisza. Wszyscy spoglądali na obracający się powoli hologram.

- Wchodzimy sami czy zgłaszamy admiralicji? - zapytał nieśmiało Born.

- Jak to: wchodzimy? - zdziwił się Iarrey.

- Normalnie, jak do każdego wraku - odparł kapitan.

- To pierwszy ślad obcej cywilizacji, na jaki trafiliśmy w przestrzeni, a wy chcecie go po prostu splądrować? - nie poddawał się pierwszy oficer.

- Zaraz: splądrować - obruszył się Morrisey. - Chcemy go tylko dokładnie obejrzeć.

- Akurat!

- Dobrze wiesz, Iarrey - rzekł kapitan - że jeśli

przekażemy go władzom, nigdy nie będziesz miał okazji dowiedzieć się, co było w środku. Informacja o odnalezieniu tego statku będzie przez najbliższe sto pięćdziesiąt lat tajniejsza niż skład kolegium połączonych sztabów. Nasz artefakt po prostu zniknie, rozplynie się w przestrzeni. A ty będziesz miał rozkaz trzymać gębę na kłódkę do końca życia, a jak piśniesz słówko, to... - znaczący gest nie pozostawiał wątpliwości, że admiralicja umie dbać o swoje sekrety. - Jeśli mam mieć kaganiec na gębie przez resztę życia, to chcę wiedzieć dlaczego. I chcę mieć jakąś pamiątkę, dowód na to, że to my po raz pierwszy natrafiliśmy na ślad obcej cywilizacji.

- Głosujemy? - Annataly postanowiła zakończyć tę wymianę zdań.

- Jestem za - powiedział Born.

- Za wejściem czy za zgłoszeniem? - zapytał Morrisey. - Mógłbyś choć raz wyrazić się jaśniej.

- Jestem za wejściem - poprawił się porucznik.

- Ja też - nawigatorka przyłączyła się do niego bez wahania.

- Panie Iarrey? - Morrisey spojrział wyczekująco.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł...

- Nie pytam o jakość pomysłu - przerwał mu kapitan - tylko o to, czy idziesz?

- Jestem przeciw wchodzeniu. Cholera wie, co...

- Nike? - Morrisey przerwał mu po raz kolejny.

- Ja... - zająknął się kadet, mając nadal w pamięci sceny z pancernika. - Ja jestem po stronie pierwszego. To nie nasza bajka... Lepiej postępujemy według regulaminu.

- Zatem dwa do dwóch. - Morrisey wstał. - Jako dowódca mam prawo decydującego głosu. I mówię wam, że cokolwiek by się działo, wejdziemy do wnętrza tego... czegoś.

- Ciekawe którądy - pierwszy wskazał na holograficzny obraz obcego statku. - Zauważyliście gdzieś jakieś włazy? A co zrobimy z polem siłowym?

My - Nike uśmiechnął się do siebie. Jarrey przegrał w głosowaniu i natychmiast stał się posłusznym trybem w maszynie Morriseya.

- Pole to pestka - powiedziała Annataly. - Cokolwiek zasila to pole, jest już na wyczerpaniu. Kilka salw szerokopasmowych, powinno je ostatecznie rozproszyć.

- A jeśli to pole absorpcyjne? - zapytał Nike.

- Absorpcyjne, powiadasz - podporucznik zamyśliła się. - Cholera wie, może i mają tam pola absorpcyjne. Skoro po tylu

tysiącach lat ten statek nadal ma czynne bariery energetyczne... Jeśli to jest pole absorpcyjne, strzelanie oczywiście nie ma sensu, tylko byśmy je wzmocnili. To ogromna jednostka, kilkukrotnie większa od naszych największych pancerników. Choćbyśmy użyli całej mocy ogniowej, jaką posiadamy, nie nadwerężymy jej potencjalnych układów obronnych. Oczywiście traktujcie moją wypowiedź czysto hipotetycznie, bo nie mam pojęcia, jak mocna jest ta osłona i jak działa...

- Najbezpieczniej będzie - wtrącił Iarrey, gdy zaczerpnęła tchu - użyć śmiecia, które krąży wokół. Ustawiczne bombardowanie odłamkami powinno dość szybko wyczerpać zasoby energii deflektorów, czy są defleksyjne, czy absorpcyjne. Według moich obliczeń w chwili obecnej dochodzi do około stu kolizji z polem na standardową godzinę. Jeśli wejdziemy w sam środek pasa na pełnych deflektorach, możemy sprawić, że wartość ta wzrośnie nawet stukrotnie...

- Ale rozpętamy prawdziwe piekło. - Morrisey uparł się chyba, że nie pozwoli pierwszemu dokończyć jakiegokolwiek wypowiedzi. - Pas utraci stabilność...

- ...ale to przestanie być problemem, jeśli na skraju strefy

zamontujemy najmniejszy z kolapsarów. Mogę nim sterować ręcznie zmniejszając i zwiększając siłę grawitronu zależnie od potrzeb i rozwoju sytuacji. - Iarrey nie pozostał mu dłużny. - Mogę też zaprogramować przechwytywanie obiektów wychodzących ze strefy. W mniej niż sześć godzin pozbedziemy się większości odłamków otaczających sam artefakt. Zdecydowanej większości. Resztę spokojnie załatwią nasze lasery.

- A co z wejściem do środka? - zapytał Nike.

- Poszukamy - uspokoił go Born - a jeśli nie znajdziemy, to powinieneś wiedzieć, że robot klasy C4 w pół godziny radzi sobie z aktywnym pancernem nowoczesnego pancernika.

Morrisey rozparł się na fotelu, założył ręce za głowę i przymknął oczy.

- Wątpię, żeby to coś było bardziej odporne... A jeśli nawet, to mamy czasu w bród.

- Tyle że zostaną ślady... - powiedział pierwszy.

- Wierzę w ciebie, Iarrey. Na pewno coś wymyślisz.

- Na speców z admiralicji i fakt, że to pierwszy kontakt z obcymi, mogą być za cienki.

- No tak, to faktycznie może być problem - zasepił się kapitan. - Nie pomyśleliśmy, co na to powie góra.

- Jeśli się zorientują, że badaliśmy obiekt, trafimy na kwarantannę - mruknął Born. - I to tę wieczną... Musimy działać naprawdę ostrożnie.

- Kapitan wyraźnie zmarkotniał.

- Jeśli nie znajdziemy sposobu na bezinwazyjne wejście, odpuszczamy sobie.

- Pozostaje jeszcze kwestia tych, co na dole... - wtrącił Born. - Co z nimi robimy?

- Mówisz o numerach? - Morrisey prychnął pogardliwie.

- Zostawmy ich w trumienkach. Nie potrzebujemy świadków. Księżulo też sobie jeszcze chwilę pochrapie. Chyba że chcesz urządzić obcym chrzest.

Z bliska statek obcych był naprawdę przytłaczający. Gruszkowaty, pokryty naroślami kształt miał w najszerszym miejscu ponad trzy tysiące pięćset metrów obwodu. „Nomad” wiszący w odległości pozwalającej na rozpięcie korytarza linowego wyglądał przy nim niczym mucha, która zamierza usiąść na tyłku krowy, jak to obrazowo określił Morrisey.

Plan Iarreya okazał się doskonały. W niespełna sześć godzin udało się zneutralizować pole siłowe broniące dostępu do kadłuba, drugie tyle zabrało oczyszczenie okolicy z odłamków. O szesnastej czasu pokładowego zostali sam na

sam z największą tajemnicą swojego życia.

Morrisey, pamiętając o przestroгах pierwszego, nie nakazał natychmiastowej penetracji pancerza, ale rozesłał wszystkie dostępne roboty, by dokładnie przeszukały powierzchnię wraku w poszukiwaniu ukrytego wjazdu czy jakiegokolwiek innej drogi do wnętrza. Jak na razie operacja ta nie przyniosła żadnych skutków, kadłub statku wydawał się istnym monolitem.

Godzina za godziną wszyscy członkowie załogi ślęczeli przed monitorami analizując dane napływające od robotów. Wreszcie, gdy stracili już nadzieję, a Morrisey zaczął układać raport dla admiralicji, stało się coś dziwnego. Jedna z symetrycznie rozmieszczonych kopuł w górnej części kadłuba zrobiła się przezroczysta. Chropowata powierzchnia najpierw zmętniała, a potem, dosłownie w kilka sekund, stała się przejrzysta niczym najczystszy kryształit. Widzieli to dokładnie dzięki rejestratorom sond.

Czekali ponad kwadrans, obserwując pozostałe części statku, lecz nic więcej się nie wydarzyło. Roboty nadal zmuśnię przesuwały kolejne fragmenty poszycia obcej jednostki, ale ludzie zebrani w sterowni „Nomada” stracili chwilowo zainteresowanie ich pracami.

Przezroczysta kopuła nie odsłoniła niczego szczególnego, pod nią znajdowała się jedynie wolna przestrzeń i równa jak stół, błyszcząca płaszczyzna. Ściana albo podłoga, zależy jak na to patrzeć. Nie było na niej żadnych znaków, niczego prócz jednolitej, wręcz nużącej szarości.

- Ciekawe - mruknął Iarrey, wklepując kolejne komendy do komputera. - Nasz stateczek chyba coś kombinuje... Gdyby mnie ktoś pytał, to ta lśniąca powierzchnia jest czymś w rodzaju baterii słonecznych. Wyczerpaliśmy dostępne zapasy energii i ktoś, albo coś, chce je teraz uzupełnić.

- Nie bądź śmieszny! - Born machnął lekceważąco ręką. - Statek kosmiczny ładujący energię przez panele baterii słonecznych? Nie ta wydajność.

- Tak? - obruszył się pierwszy. - Pan Born, znany specjalista od technologii obcych, jak zwykle wie lepiej. Wydajność tych systemów może być setki razy większa od takich, które my znamy.

- Akurat...

- Czytałeś instrukcję obsługi tych baterii, że jesteś taki pewny? - odgryzł się Iarrey. - Oni latali w kosmos w czasach, gdy na Ziemi uczono się krzesać ogień. Tak się składa, że ogniskowa tej kopuły statku jest skierowana na najjaśniejszy

punkt sfery. Prosto na naszą gwiazdkę.

Born wzruszył tylko ramionami i wrócił do swoich zajęć.

- To by wyjaśniało, w jaki sposób pole ochronne wytrzymało tak długo - powiedziała Annataly.

- Nie sądzę - zaprzeczył natychmiast pierwszy. - Jesteśmy za daleko od gwiazdy tego systemu, by takie ładowanie przyniosło jakiegokolwiek efekty, nawet jeśli wydajność tych baterii jest tysiącrotnie większa od naszych. Zdaje mi się, że poważnie nadwreżyliśmy zasoby energetyczne, których z niewiadomych względów to coś bardzo potrzebowało. Stąd tak dramatyczna i nieefektywna próba...

- Wszystko to piękne, panie pierwszy - powiedział Morrisey obracając się w fotelu. - Ale co to u licha znaczy?

- Moim zdaniem jednostka centralna tego statku, czy co oni tam mają, nadal jest aktywna. Przynajmniej częściowo. Na pewno nie steruje tym procesem istota żywa, bo miałyby świadomość, że przez takie działanie nie uzyska żadnego rezultatu. Maszyna nie myśli, po prostu uruchamia kolejne najefektywniejsze procedury, by wykonać zadanie. Nie uda się jedno, zrobi coś innego, zgodnie z priorytetami i instrukcjami...

- Czyli? - zapytał kapitan.

- A co to, obcy jestem czy co? - roześmiał się Iarrey - Nie mam pojęcia, ale jak poczekamy, to pewnie coś się zdarzy.

* * *

Iarrey miał rację. Po trzech godzinach bezczynności zobaczyli, że jedna z kopuł w szczytowej części kadłuba pęcznieje. Jak pęcherz na powierzchni gotującej się wody albo bańka mydlana. Powierzchnia pancerza nie zmieniła jednak barwy jak poprzednio, po prostu kopuła rosła wzwyż, choć jej obwód nie powiększył się nawet na milimetr. Proces ten trwał dokładnie minutę i nagle w szczytowej części wypukłości pojawił się liczący kilkanaście metrów średnicy kolisty otwór.

- Wyślijcie kamery do wnętrza! - zakomenderował podekscytowany Morrissey.

Najbliższe roboty ruszyły w kierunku otworu i po chwili trzy z nich zniknęły za obłą krawędzią.

- Wizja! - ryknął kapitan.,

- Brak odczytów - zameldowała Annataly. - Pancerz obiektu całkowicie ekranuje nasze częstotliwości.

- Ustaw jednego robota ponad otworem, zrobimy z niego przekaźnik - poradził Iarrey. - W razie czego możemy zrobić cały łańcuch przekaźników wykorzystując kolejne roboty.

Mamy ich jeszcze kilkaset na pokładzie.

- Dobra myśl, panie pierwszy... - mechaniczna dłoń kapitana uniosła się nad oparcie fotela w charakterystycznym geście zwycięstwa.

Dziesięć sekund później mieli na ekranie widok ogromnej hali znajdującej się pod kopułą. Całe pomieszczenie tonęło w mroku, rozświetlanym jedynie gdzieś tam, fluorescencyjnym blaskiem dobywającym się z grzybopodobnych narośli rozsianych w równych odstępach po obłej ścianie kulistej niecki kryjącej się pod kopułą. Blask ten pozwalał umiejscowić „świecące grzybki”, ale nie rozpraszał ciemności nawet w ich najbliższym otoczeniu. Dla nowoczesnych systemów noktowizyjnych, jakimi dysponowały roboty zwiadowcze „Nomada”, nie była to wielka przeszkoda. Maszyny dekodowały sygnały radarowe i infrawizyjne na zwykły obraz, a równocześnie tworzyły trójwymiarowy model holograficzny badanego obiektu nad stołem konferencyjnym.

Pomieszczenie, teraz gdy kopuła podniosła się, miało kształt lekko spłaszczonej kuli. W dolnej części wgłębienia widać było wiele dziwnych konstrukcji pokrywających zaokrągloną ścianę i rozmieszczone wokół nich skupiska

fluorescencyjnych grzybów. Czujniki robotów wykryły też ponad tuzin otworów różnej wielkości. Morrisey kazał wysłać do każdego z nich najmniejsze sondy wizyjne, ale szybko okazało się, że korytarze są zbyt wąskie albo zbyt kręte, co nie pozwalało na bezpośredni kontakt z wysłanymi maszynami. Pierwszy zaproponował, by analogicznie jak teren pod kopułą badać je kolejno, korzystając z łańcucha przekaźników. Odłożono to jednak na później. Członkowie załogi „Nomada” mieli bowiem coś znacznie ciekawszego przed oczami.

Z najniżej położonego punktu kulistej hali wyrastała walcowata konstrukcja, która zapewne służyła załodze tego statku jako rewolwerowa wieża cumownicza. Całość podzielona była na sześć segmentów tej samej mniej więcej długości. Każdy z nich miał sześć rurkowatych wypustek z umieszczoną na końcu śluzą. Im niższy segment, tym dłuższe były ramiona wysięgników, do których przycumowano niewielkie jednostki, których przeznaczenia mogli się jedynie domyślać.

- I co wy na to? - zapytał Morrisey, gdy już się napatrzyli.

- Jak by się ktoś pytał o moją opinię, to trafiliśmy do ich garażu - powiedziała Annataly.

- Dokładnie - poparł ją Iarrey. - Wydaje mi się, że statek zastosował się właśnie do procedur alarmowych. Utrata zasilania dla systemów podtrzymywania życia załogi powinna oznaczać standardową procedurę awaryjną: ewakuację w kapsułach ratunkowych. Sadzę, że te kuliste wypustki na szczycie wieży cumowniczej to właśnie takie kapsuły.

- Tyle tylko - dodała nawigatorka - że na pokładzie nie ma już nikogo, kto mógłby z nich skorzystać...

- Miejmy nadzieję, że tak jest w istocie...

- Nadzieja jest matką głupich, panie Born. - Morrisey wstał z fotela i się przeciągnął. - Bierzmy się do konkretnej roboty, bo się ściemnia. Iarrey, sprawdź wszystkie wolne śluzy, chcę znać systemy zamków, mechanicznych zabezpieczeń itede. Może da się którąś otworzyć, to chyba będzie najłatwiejsza droga do wnętrza statku. Masz pozwolenie na każdą akcję, byleś nie zostawił śladów włamu. Nike i Born będą ci pomagać. Następna narada za trzy godziny i lepiej, żebyście mieli jakieś konkrety. A ty, kochanie, pozwól ze mną musimy porozmawiać...

Davidoff-Rozerer skinęła głową i bez słowa ruszyła w kierunku drzwi. Morrisey przepuścił ją szarmancko przed sobą, po to tylko, żeby poklepać lubieżnie w miejscu, gdzie

kończą się plecy. Cichy syk uszczelniających się drzwi przerwał w połowie perlisty chichot pani podporucznik. Zapadła cisza przerywana co jakiś czas popiskiwaniami elektronicznych urządzeń pokładowych.

- Tak - mruknął Iarrey patrząc na skrzywioną w dziwnym grymasie twarz Borna. - Stary sobie dogłębnie porozmawia z Annataly, a my otworzymy mu w tym czasie sezam.

- Trzy godziny to niewiele jak na skalę problemu - odparł Born.

- A co o tym wszystkim sądzi nasz młody geniusz? - uśmiech pierwszego był jak najbardziej szczery. W głosie też nie dało się wyczuć ironii.

- Nie wydaje się panu dziwne - zapytał Nike - że komputer tamtego statku rozpoczął procedurę ewakuacyjną mimo iż na jego pokładzie nie ma żywego ducha?

Iarrey zasepił się. Zmarszczył czoło i zaczął nerwowo skubać włoski na niegolonej od ponad doby brodzie. Nike zauważył, że przygryza dolną wargę.

- Wiesz, Nike, masz cholerną rację... Próbowałem sobie przypomnieć, jakie procedury obowiązują we flocie przy takich okazjach. Komputer musi nadzorować całość procesów, w tym i systemy podtrzymania życia. Jeśli nie ma kontaktu z

żywym członkiem załogi, to bardzo wątpliwe, żeby uruchamiał procedury ewakuacyjne. To działanie wbrew logice...

- Mnie to też wydało się mocno podejrzanе - wtrącił Born robiąc zatroskaną minę.

- Z drugiej jednak strony - ciągnął pierwszy - tak naprawdę to nie wiemy, co sprawiło, że statek otworzył jeden z włazów. Może chodziło o coś zupełnie innego niż ewakuacja. A może po tak długim czasie maszyneria jest zdezelowana i nie do końca kontroluje sytuację albo obcy mają inne procedury niż my... ale nad tym będziemy mogli się zastanowić, jak już wejdziemy do środka i zbadamy to pieprzone ustrojstwo.

Najpierw sprawdzili wolne śluzy w górnym sektorze wieży. Wyglądało na to, że są zbudowane podobnie do tych funkcjonujących na każdym z ziemskich statków. Niestety wszystkie były zamknięte, a na zewnątrz nie zauważyli żadnego panelu, przycisku, uchwytu. Niczego, co pozwalałoby na otwarcie zewnętrznych włazów śluzy. Sprawdzali więc kolejne sektory, w których zauważyli puste miejsca na dokowisku.

W czasie gdy Born i Jarrey analizowali budowę śluz,

Nike nadzorował pracę sześciu szperaczy i sporządził szczegółowy, trójwymiarowy plan pomieszczenia. Między innymi lustrował wszystkie korytarze, ale już po sprawdzeniu trzech z nich miał pewność, że nie tędy droga. Wszystkie były zamknięte na głucho, czemu się specjalnie nie dziwił. Pod kopułą nie było powietrza, zatem gdyby korytarze te miały połączenie z wnętrzem statku, automatycznie wyssałyby z jego pomieszczeń każdy atom gazu. Zostawił zatem żmudne wprowadzanie robotów do kolejnych tuneli na koniec pracy i zabrał się za skanowanie najniższej części niecki. I tu czekała na niego niespodzianka.

- Panowie - przywołał obu oficerów.

Iarrey nie zareagował, za to Born od razu podszedł do stołu.

- Mam nadzieję, że to coś ciekawego - mruknął ocierając pot z czoła. Nie zmniejszyli temperatury w sterowni, mimo że Morrisey wyszedł

- Myślę, że znalazłem rozwiązanie naszego problemu... - Nike przełączył wizję z kamer pierwszego robota na ekran główny. - Proszę...

Porucznik spojrział najpierw na podstawę wieży tonącą w płątaniu rur i dziwacznych konstrukcji niewiadomego

pochodzenia, potem na uśmiechniętego od ucha do ucha chłopaka.

- Doprawdy? - zapytał ostrożnie.

- Nie widzi pan niczego szczególnego? - zdziwił się Nike.

- Prócz masy śmiecia, prawdę mówiąc nie widzę tu nic.

- Dokładnie - uśmiech ponownie zagościł na twarzy kadeta. - Czy to - wskazał palcem na jeden z leżących na dnie elementów - nie wygląda znajomo?

Born zmrużył oczy i przysunął do siebie klawiaturę konsoli hologramatora. Wykonał tę samą serię analiz porównawczych, jaką dosłownie przed chwilą zakończył Nike. Z tym samym rezultatem zresztą.

- Mógłbyś tu pozwolić, Iarrey - powiedział, gdy ostatnia para obrazów zlała się w jedno.

Tym razem pierwszy oderwał się od swojej roboty. Podszedł do stołu i zapoznał się z efektem pracy Borna. Przerzucił szybko ostatnie obliczenia i uśmiechnął się szeroko.

- Moje gratulacje, synu - powiedział i poklepał kadeta po ramieniu.

* * *

- Jak pan widzi, sir, możemy wejść do środka statku nie

zostawiając żadnych śladów - powiedział Iarrey.

Morrisey ze zdumieniem patrzył na robota widocznego przez jedno z okien umieszczonych w pałaku prowadzącym do węzła cumowniczego.

- Jak wyście go tam wprowadzili? - zapytał szczerze zdziwiony kapitan.

- To zasługa naszego młodego przyjaciela, sir. - Iarrey wskazał na Nike'a. - Niech sam powie.

- No, synu, słucham...

Fotel zrobił pół obrotu i wyprężony jak struna kadet znalazł się w polu widzenia dowódcy.

- Podczas kompletowania skanów do hologramu znalazłem u podstawy wieży cumowniczej uszkodzoną kapsułę ratunkową z otwartym włazem, która najwidoczniej została odłączona podczas katastrofy statku. Porucznik Iarrey zbadał dokładnie mechanizmy dokujące, okazało się, że są to tylko czysto mechaniczne zabezpieczenia. Użyliśmy kilku małych autograwów i podnieśliśmy kapsułę do pierwszego wolnego stanowiska. Po wpasowaniu pierścienia dokującego w kołnierz śluza węzła otworzyła się automatycznie. Robot umieszczony uprzednio w kapsule przedostał się do śluzy, wtedy odsunęliśmy kapsułę symulując jej odpalenie. Śluza

zewnątrzna zamknęła się automatycznie, ale za to drugie drzwi stanęły przed nami otworem.

- Oto analiza składu atmosfery znajdującej się wewnątrz obcego statku. - Iarrey podał kapitanowi czytnik.

- Na moje oko niewiele różni się od ziemskiej - powiedział Morrisey po chwili. - A co mówi analiza flory bakteryjnej?

- Nic nie znaleźliśmy - tym razem sprawę zreferował Born. - Absolutnie aseptyczna, ale mimo podobieństw w składzie atmosfery wewnątrz obcego statku nie polecałbym rozszczelniania skafandrów, nawet w krytycznej sytuacji. Badamy tylko te aspekty, które znamy.

- Toteż nikt o tym nie mówi... - Morrisey zamyślił się.

- Dane, które zebraliśmy, wskazują jednoznacznie na to, że obcy, podobnie jak my, potrzebują tlenu. Możemy zatem założyć, iż mamy do czynienia z białkową formą życia.

- Teoretycznie... - wtrącił Iarrey. - Sądząc z wielkości włazów, przycisków, uchwytów czy fotela w kapsule są wyżsi od nas i mocniej zbudowani. Mogą mieć nawet około trzech metrów wzrostu. Kształt siedziska, skoro już o tym mowa, jest ciekawy...

Na ekranie pojawił się widok wnętrza kabiny, fotel był

bardzo długi, obły, wręcz opływowy, z dwoma podłużnymi zagłębieniami w górnej części.

- Jakież sugestie?

- Niestety, nic konkretnego. Za mało danych, żebym mógł powiedzieć coś ponad to, co pan już usłyszał, sir. Do tej pory nie ruszaliśmy się poza obszar pałaka. Robot wprawdzie dotarł do śluzy prowadzącej do głównego pnia wieży i otworzył przejście, by pobrać próbki powietrza z tamtej strony, ale natychmiast się wycofał. Z podjęciem bardziej konkretnych działań czekaliśmy na pana, sir.

- Doskonale... - Morrisey wstał. - Panowie, myślę, że nadszedł czas na mały spacer. Annataly, ty zostaniesz tutaj - uciszył gestem rodzący się właśnie sprzeciw. - Ktoś musi nas nadzorować w razie nieszczęścia.

- Ja się na tym nie znam tak dobrze jak Born - zaprotestowała wskazując na aparaturę, ledwie skończył.

- Skarbie... - mruknął kapitan podchodząc do niej. - To ty jesteś pilotem i to ty najlepiej z nas wszystkich potrafisz operować drążkiem... - przerwał słysząc parsknięcie Iarreya, lecz nie odwrócił się w jego stronę. - Nie wciskaj mi kitu. Będziesz miała swoją szansę na wycieczkę jak tylko zabezpieczymy teren. Obiecuję.

Weszli we czwórkę. Morrisey, Jarrey, Born i Nike. Otoczeni hordą robotów i sond poruszali się na pasach grawitacyjnych w głąb pałaka. Plan był prosty. Mieli badać statek pomieszczenie po pomieszczeniu ustawiając kolejne roboty w miejscach przedłużających zasięg komunikacji i blokując kolejne drzwi w pozycji otwartej. Annataly ze sterówki „Nomada” miała kontrolować pracę sond dostarczając informacji zwiadowczych.

Dzięki robotom dysponowali dokładną wirtualną mapą trzech kolejnych pomieszczeń przed sobą. To dawało wystarczający margines bezpieczeństwa. Morrisey może był napaleńcem, ale miał też świra na punkcie ostrożności. Wypadek, w którym stracił rękę, oduczył go szarżowania.

Zeszli do dolnej części wieży kontrolując wybiórczo po jednym statku na poziom. Nie znaleźli niczego, co pomogłoby im w przybliżonej chociaż identyfikacji istot, które zbudowały ten statek. Upewnili się tylko, że wszystkie fotele miały jednakową wielkość i kształt, zatem obcy, jakkolwiek wyglądali, należeli do jednego gatunku.

- Skurwyklony - mruknął Morrisey, gdy wyszli z ostatniej kabiny. - Bezduszne skurwyklony.

Wnętrza pojazdów były sterylne czyste. W maszynach

prowadzonych przez ludzi znajdowało się mnóstwo przedmiotów przypominających im o rodzinach, domu. Tutaj nie było nic. Jakby to był sprzęt, który dopiero co zszedł z linii produkcyjnej.

- Może nie czuli potrzeby dekorowania wnętrza - powiedział Iarrey. - A może zabrali wszystko ze sobą, odchodząc...

- I tak ich pieprzę - odparł kapitan lecąc za robotami w kierunku ostatniej śluzy. Prowadziła prosto do właściwego wnętrza statku.

Nike wyświetlił hologram następnego pomieszczenia. Nie było zbyt duże, wychodziły z niego dwa identyczne koliste korytarze. Ten po lewej był zakończony pancernymi grodziami, ten po prawej prowadził do czegoś, co od biedy można by uznać za pokład mieszkalny. Wszędzie na ścianach widać było fosforyzujące „grzyby”. Dzięki nim nie musieli zapalać reflektorów i oszczędzali energię skafandrow. Morrisey zastanawiał się chwilę, wreszcie wskazał na prawy korytarz. Zgodnie z tym, co mówiła Annataly, zawsze wybierał łatwiejszą drogę. Pozostałym było to na rękę, im mniej ryzyka, tym większe szanse na spokojną emeryturę.

Przeszli przez rozgałęzienie, ale kapitan zatrzymał się

przed następnymi drzwiami.

- Annataly!

- Tak, szefie?

- Oddeleguj - przeliczył szybko towarzyszące im maszyny - pięć robotów i dwadzieścia sond do zbadania tego drugiego odgałęzienia. Chcę mieć regularnie odczyty.

- Zrozumiałam - potwierdziła i część maszyn jak za dotknięciem magicznej różdżki ruszyła w kierunku widniejącego w oddali przejścia.

Dopiero gdy zniknęły z pola widzenia, kapitan kazał otworzyć przejście. Membranowate drzwi zwinęły się, ledwie robot dotknął ich powierzchni. Gdy zamknęły się za ostatnim z członków załogi, Iarrey przejechał po ich chropowatej powierzchni rękawicą. Uderzył dość mocno, ale usłyszeli tylko głuchy odgłos - jakby ktoś stukał metalem o kamień - a sekundę później znów rozwarły się, jakby były niematerialne.

- Niesamowite - mruknął pierwszy ustawiając robota tak, by membrana nie mogła się zamknąć.

- Obce - powiedział Morrissey, którego najwyraźniej nie ruszały takie efekty. Spoglądał w głąb skręcającego ostro korytarza. Kamery sond już dawno zeskanowały każdy jego zakątek. Nike podstawił przed wizjer kapitana hologram

korytarza. Najwyraźniej biegł wokół kadłuba i w tej sekcji miał tylko jedne drzwi boczne, te, przez które weszli.

- Prawo, lewo? - zapytał Born. Obie strony wyglądały identycznie.

- Prawo - odparł kapitan.

I poszli w prawo. Pokonali jeszcze cztery sekcje podobnych korytarzy, z których mogli dostać się do identycznych, ale zamkniętych doków.

W piątej sekcji trafili wreszcie na drzwi prowadzące do wewnętrznej części statku. Nie chciały się jednak otworzyć. W tym samym czasie do oddziału dołączyły roboty wysłane do penetracji drugiego odgałęzienia. Mimo wielu prób nie udało się otworzyć grodzi blokującej drogę. Morrisey kazał zatrzymać się ludziom przy drzwiach i wysłał sondy do dalszej części korytarza.

Usiedli pod pochyłą ścianą obserwując, jak na holopadzie Nike'a pojawiają się kolejne segmenty trójwymiarowej układanki. Roboty w niespełna kwadrans sprawdziły pozostałe sekcje korytarza - rzeczywiście okazał się zamkniętym pierścieniem. Drzwi, które znaleźli, były jedynymi po wewnętrznej stronie.

- Dupa - mruknął Iarrey, gdy hologram korytarza

zamknął się na jego oczach.

- Dupa - potwierdził Born. - Na tym kończy się nasza przygoda na statku Obcych.

Nike wyciągnął rękę, żeby wyłączyć urządzenie, ale Morrisey chwycił go za nadgarstek.

- Panowie, naprawdę chcecie odpuścić? - powiedział. - Siedzimy na korytarzu pierwszego obcego pojazdu, na jaki trafiła ludzkość, i za fiuta pana nie dowiemy się, co jest za tymi drzwiami?

- Pierwszego, o jakim wiemy - przerwał mu dość bezceremonialnie Jarrey - a to duża różnica.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się kapitan.

- O tym, że wcale nie mam pewności, czy to pierwszy statek obcych, na jaki trafiła ludzkość - odparł Jarrey.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział Morrisey.

Born i Nike także wyglądali na zdezorientowanych.

- Chciałem powiedzieć, że to, iż nie wiemy nic o odnalezieniu obcych jednostek, nie znaczy wcale, że nie było takich kontaktów. Kto z was zaręczy, że admiralicja nie ukrywa takich odkryć?

- Co ty pie... - zaczął Born, ale kapitan uciszył go gestem ręki.

- Konkrety, panie pierwszy - powiedział.

- Pamiętacie, co się stało z „Wagabundą”? - odpowiedział pytaniem na pytanie Jarrey.

Zamilkli. Nike patrzył na ich twarze nic nie rozumiejąc.

- Ja nie pamiętam.

Morrisey przyłożył palec rękawicy do wizjera hełmu, jakby chciał nakazać mu milczenie. Born spuścił głowę.

- „Wagabunda” - wyjaśniał pierwszy - był bliźniaczą jednostką „Nomada”. Lata temu badaliśmy sektor Omikron. Oni sprząтали śmieci w systemie siódmym, my w szóstym. Potem wspólnie mieliśmy zająć się ósemką. Nowowieyski skończył robotę szybciej. Zameldował, że leci przygotować grunt, potem dostaliśmy meldunek, że ma dwa wyraźne odczyty i czeka na nas. Musieliśmy skolapsować jeszcze jeden „dołek”. Tam naprawdę było ostro w czasie wojny. Skończyliśmy czyszczenie dobę później i szykowaliśmy się do skoku, gdy nagle dostaliśmy rozkaz z admiralicji, by natychmiast wracać do bazy... A po powrocie dowiedzieliśmy się, że „Wagabunda” wszedł na nieoznaczone pole minowe i flota blokuje dostęp do tego systemu do czasu dokładnego zbadania sytuacji. Dwa tygodnie później dostaliśmy nowe mapy i posprzątaaliśmy bałagan. Ale mieliśmy na nich tylko

jeden odczyt.

Morrisey kiwał głową, Iarrey ścisnął dłonie w pięści.

- Jeden pieprzony odczyt, rozumiesz? - powiedział Born.

- Nowy meldował o dwóch, a ten facet był dokładniejszy od mikrometru, jeśli chodzi o takie sprawy. Latałem z nim trzy sezony, więc wiem, co mówię.

- Może flota załatwiła to we własnym zakresie - powiedział Nike - przy okazji likwidowania pól minowych...

- Synku - Iarrey przyciągnął go tak, że niemal zetknęli się wizjerami hełmów. - To nas wysyłają do takiej roboty, a zapewniam cię, że nikt z korpusu nie czyścił tamtego systemu. Znam każdego zawszonego szypra i każdy złom, jaki lata w służbie Federacji. Poza tym Nowowieyski nie wszedł na żadne pole minowe. Kontaktował się z nami już po zrobieniu namiarów, a wejść na minę bez szansy na reakcję można tylko wychodząc z nadprzestrzeni. Ingertruda powiedziała, że muszą zrobić dodatkowe pomiary, bo coś im nie pasuje... Do tej pory myślałem, że ten drugi „dołek” to była jakaś zmyłka, a „Wagabunda” trafił na swoją cierpliwą śmierć przy jakimś wraku.

- Skurwyklonia mać - zaklął Morrisey. - Albo ponosi nas fantazja, albo rzeczywiście admiralicja stara się ukryć

wszelkie kontakty z obcymi. Na zdrowy rozum utrzymujemy floty w pełnej gotowości od ponad stu lat, jakbyśmy oczekiwali jakiegoś ataku. Ale jaki sens miałoby ukrywanie takich faktów przed armią? To nielogiczne. Ale jeśli się nie mylicie, to... to znaczy, że jeśli zameldujemy...

- Bzzt i do piachu - powiedział Born strzelając z palca.

- W próżni nie ma piachu... - mruknął pierwszy.

- Wisi mi to - odburknął porucznik. - Z dodatkową dziurą między oczami będzie mi wszystko jedno, piach czy pustka...

- To co robimy? - zapytał Nike.

- Jak to co? - obruszył się Morrissey. - Prujemy ten sejf.

* * *

Spawacz wyglądał jak wielki pajak. Kulisty odwłok i dziewięć odnóży, cztery kroczo-kotwiczące oraz pięć narzędziowych. To wystarczało na pokonanie każdej przeszkody.

- Co robimy? - zapytał Born z palcami zamartwionymi nad klawiaturą. - Kasujemy całe wejście czy tniemy punktowo i sprawdzamy, co jest po drugiej stronie?

- Przewierć to cholerstwo, tak będzie bezpieczniej - powiedział Jarrey.

- Dokładnie... - Morrissey położył się pod ścianą parę

metrów dalej i obserwował na monitorach dane z sond badających tunele w doku.

- Tak jest.

Pająk rozłożył szerzej odnóża krocze. Na tak twardej powierzchni nie mógł się zakotwiczyć, elektromagnesy nie działały, więc użył przyssawek. Plazmowa wycinarka igłowa zbliżyła się do kręgu drzwi, jej koniec zaczął się jarzyć, a gdy blask stał się zbyt jasny nawet dla osłon hełmu, ramię wysunęło się w kierunku blokującej przejście membrany. Ta, nim plazmowe ostrze dotknęło jej powierzchni, zwinęła się odsłaniając węższy, żebrowany korytarz.

- O, w mordę - jęknął Born zaglądając w mroczny otwór.

- Ale jaja - Morrisey zdążył już wstać i podleciał do robota. - Światła, kamery!

Małe roboty przeleciały pomiędzy patykowatymi odnóżami i po chwili obserwowali zakręcający lekkim łukiem korytarz zakończony identyczną membraną jak ta, która właśnie się otworzyła. W bocznych ścianach widać było kilka mniejszych membran. Jarrey skierował ku jednej z nich kamerę. Robot podleciał i membrana ustąpiła. Tak samo było ze wszystkimi pozostałymi, nawet z tą na końcu korytarza. W milczeniu wpatrywali się w rosnące na hologramie ramiona

drugiego kolistego korytarza eksplorowanego przez drony

- Szlag by to... - ryknął nagle kapitan. - Annataly, natychmiast zatrzymaj roboty, które miały ciąć grodzie na pierwszym skrzyżowaniu! Wycofaj je...

- Ale... - zaskoczona nawigatorka próbowała oponować.

- Żadnych ale, tylko mi nie mów, że już zaczęły...

- Owszem - przerwała mu w połowie zdania. - Pół minuty temu zaczęły się przepalać, ale przebiecie potrwa jeszcze z kwadrans.

- Skurwyklonia mać!

- O co chodzi? - zirytowała się Annataly.

- Była szansa na bezinwazyjną penetrację. Pół dymanej minuty...

- To co mam robić?

- Tnij i melduj... - z Morriseya jakby uszło powietrze. - Bez odbioru.

Hologram planu nie rozrósł się zbytnio; wokół przejścia łączącego oba korytarze znajdowało się jedynie kilka małych pokoików wypełnionych sprzętami wyglądającymi podobnie do tych, jakie użytkowali na co dzień ludzie, ale były tam też absolutnie obce konstrukcje. Nigdzie jednak nie natrafili na najmniejszy ślad istot, które ten statek zbudowały. Żadnych

wizerunków, drobiazgów, po prostu sterylne, nigdy nieużywane pomieszczenia. Nawet te, które sklasyfikowali jako mieszkalne.

- Chore to wszystko - powiedział Born wskakując na wielki fotel i przyglądając się pokrytej dziwnymi guzami opływowej powierzchni stołu. - Wszystko zintegrowane, bezosobowe. Jakby to zaprojektowały maszyny dla maszyn.

- Może to jest jakaś bezzałogowa... - zaczął Jarrey, ale nie dokończył zdania.

Ciche, ale charakterystyczne piknięcia dobiegające z planera Nike'a uciszyły wszystkich. Zebrali się wokół kadeta patrząc na czerwony punkt pulsujący w jednym z dwóch dostępnych pomieszczeń znajdujących się po drugiej stronie wewnętrznej pętli korytarza.

- Wizja! - ryknął Morrisey.

- Brak - zameldował Nike. - Mamy tam tylko drony skanujące planera. Wizyjne odesłałem przed momentem na prośbę Annataly do przeszukiwania szybów w hangarze.

- To zawróć ten szmelc! - nie ustępował kapitan.

- Tak jest! - Kadet szybko wprowadził odpowiednie komendy.

Minęła minuta, potem druga i następna, ale żaden z nich

nie drgnął nawet. Nikt też nic nie mówił, wszyscy wpatrywali się jak zahipnotyzowani w pulsujący czerwienią punkt. W kompletnej ciszy podniesiony głos Annataly zabrzmiał jak wystrzał. Nawet Morrisey podskoczył jak oparzony.

- Mam tu mały problem - powiedziała.

- O co chodzi?

- Wysłałam do was drony wizyjne, ale...

- No, wykrztuś to wreszcie.

- Holoplan się nie zgadza - dokończyła nieco spokojniej.

- Co znaczy, że holoplan się nie zgadza? - zdziwił się Iarrey.

- Sam zobacz - na zielono opalizujące zarysy pomieszczeń statku została nałożona siatka rejestrowana przez nadlatujące drony. Jedna z sekcji zewnętrznego korytarza była według nich węższa, niż zarejestrowały to pierwsze pomiary.

- Może to problem w kalibracji czujników - powiedział Born po przyjrzeniu się różnicom - większość tych robotów to zabytkowy szmelc.

- A jak wytłumaczysz to... - Drony dotarły właśnie do łącznika. - Na planie sporządzonym w czasie pierwszego odczytu był całkowicie prosty, ale teraz...

Morrisey pokręcił głową i ruszył w stronę membrany. Ta

rozsunęła się bezszelestnie.

- Skurwyklonia mać...

Korytarz lekko skręcał, niewiele, ale na tyle, że dało się to zobaczyć gołym okiem.

- Różnica wynosi jakieś pół metra przesunięcia w środkowej sekcji. Niemożliwe, żeby pomiary były aż tak niedokładne. - Born pokręcił głową z niedowierzaniem.

- A jednak...

- Mamy wizję - przerwał im Jarrey

Skupili się wokół Nike'a i jego planera. Wewnętrzny korytarz nie nosił żadnych śladów różnic, tutaj linie w obu kolorach idealnie się pokrywały. Wreszcie na wyświetlaczach zobaczyli wnętrze niewielkiej kabiny z kilkoma lśniącoymi cylindrami rozmieszczonymi pod ścianami. Było ich tam z tuzin, wszystkie identyczne, wysokie niemal do sufitu, o średnicy ponad metra. Na środku pomieszczenia, nad podłogą, wisiał albo unosił się trzynasty walec. To przed nim wisiała drona z czujnikami.

- Czas przywitać się z gospodarzami! - ryknął Morrissey i nie czekając na pozostałych, poszybował w kierunku membrany. Ruszyli za nim odbezpieczając w locie broń.

Wewnętrzna pętla, choć nieco mniejsza od pierwszej,

zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Identyczne sekcje przedzielone membranami, świecące narośle, żadnych znaków szczególnych. Jedyńm dowodem na to, że zbliżają się do celu, był migający coraz bliżej punkt na hologramie. Wreszcie dotarli do granatowego okręgu, za którym według odczytów miało znajdować się coś żywego.

Weszli ostrożnie, mierząc z fazerów do wszystkiego w zasięgu wzroku, ale kabina wydawała się równie sterylna jak pozostałe. Nike przyjrzał się powiększonemu obrazowi na hologramie. Migający punkt znajdował się wewnątrz wiszącego w powietrzu walca. W odpowiedzi na pytające spojrzenie kapitana wskazał tam ruchem głowy. Morrisey podszedł ostrożnie do cylindra i zastukał w niego lufą fazera. Nic się nie stało, więc zbliżył się jeszcze bardziej i oparł się obiema rękami o błyszczącą powierzchnię, po czym nacisnął z całej siły. Walec obniżył się nieco i zaraz płynnie powrócił na poprzednią wysokość.

- Antygraw, niech skonam - Kapitan przyklęknął i spojrzał na spodnią część walca.

W tym czasie Born z czujnikami obszedł dookoła wiszący przed nimi przedmiot.

- Wydaje się idealnie gładki - powiedział. - Żadnych rys,

szczelin, zmian temperatury...

- Trudno. Będziem pruć - mruknął Morrisey.

Iarrey chciał zaprotestować, ale w słowo weszła mu Annataly.

- Za parę sekund zakończymy przepalanie grodzi - poinformowała. - Już. Dam wam podgląd na...

Jej głos nagle utonął w trzaskach. Fosforyzujące narośle w pomieszczeniu zamigotały, a ich światło stało się intensywniejsze. Morrisey odskoczył od walca. Born i Iarrey unieśli broń. Nike odsunął się pod ścianę.

Wiszący przed nimi cylinder zmieniał barwę, górna część ciemniała w szybkim tempie, a jej powierzchnia przestała być gładka. Przebiegały po niej fale, jakby walec ulegał jakimś naprężeniom.

- ...am dzieje, do cho... - zniekształcony głos nawigatorki przebił się na moment przez trzaski. - ...sisz to kur... czyć...

Chyba nikt nie zwrócił uwagi ani na te strzępki słów, ani na wyraźne zdenerwowanie w głosie mówiącej czy raczej krzyczącej Annataly. Nagle powierzchnia walca została wypchnięta, jakby coś usiłowało się z niego wydostać. I tak było w rzeczy samej. Niedawno jeszcze twarda jak stal pokrywa rozerwała się pod naporem niemalże ludzkich w

budowie dłoni o sześciu palcach.

Ktoś strzelił, Nike nie widział kto, w każdym razie nie był to Morrissey. Struga energii przesunęła się po górnej części walca osmalając ją na całej szerokości i wypalając dziurę w jednym ze stojących naprzeciw cylindrów.

- Pojechało was czy co! - ryknął kapitan.

Tymczasem w rozdarciu pojawiły się ręce. Przeróżnie chude, zważywszy na ich długość. Szara skóra, wyraźne węzły pracujących pod nią mięśni, coś w rodzaju łokci. Istota uchwyciła krawędzie otworu, w miejscu, gdzie cylinder nadal pozostawał twardy, i zaczęła się podnosić.

Najpierw zobaczyli głowę obcego. Długie, miękkie, aczkolwiek grube jak ludzkie palce, wypustki o barwie złota pokrywające jej czubek spływały na chude ramiona niczym włosy. Twarz istoty na pierwszy rzut oka przypominała ludzką. Oczy, nos i usta tam gdzie trzeba, ale wszystko zupełnie inne... obce.

Czarne jak mrok kosmosu oczy pozbawione były tęczy, nos niemal niewykształcony i pozbawiony jakichkolwiek otworów, usta szerokie tak, że ich kąciki niknęły pod włosopodobnymi wypustkami. Ale największe wrażenie robił niewielki twór pośrodku czoła, przywodzący na

myśl zaciśnięte mocno wargi. Coś jak trzecie, tyle że mocno zamknięte, oko.

Istota rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby nie do końca wierząc własnym oczom. Nie wydawała się jednak zaskoczona obecnością karłowatych postaci. Poruszyła ustami, może nawet coś powiedziała, ale poprzez krystalit i tak niczego nie mogli usłyszeć. Potem machnęła ręką, jakby odganiając intruzów. Nie zareagowali, stali jak zahipnotyzowani wpatrując się w obcego, gdy wstawał. Miał rzeczywiście ponad trzy metry wzrostu, stojąc w walcu zyskał jeszcze niemal metr. Głową sięgał do sufitu. Jego szare ciało okrywała bardzo luźna, pozbawiona jakichkolwiek zdobień tunika. Zwisiała aż do powierzchni walca, dlatego nie widzieli nóg obcego, jedyne co dawało się zauważyć, to spore wybrzuszenie na plecach.

Nike nie wiedział, ile to wszystko trwało. Obcy przypatrywał się im z góry, oni zadzierając głowy patrzyli na niego. Wreszcie Born zrobił krok do przodu i podniósł rękę w klasycznym geście pozdrowienia. Istota odwróciła powoli głowę w jego kierunku i przekrzywiła ją jak ptak obserwujący otoczenie. Tak, właśnie jak ptak - pomyślał Nike i w tej samej chwili zza pleców istoty wyłoniły się dwa obłe kształty -

skrzydła!

Istota rozprostowała je powoli na całą szerokość ukazując skomplikowane wzory wijące się na puszystym, śnieżnobiałym tle.

- Anioł... - szepnął Iarrey i przyklęknął, żegnając się odruchowo, gdy obcy złożył skrzydła.

Na twarzy istoty pojawiło się coś, co wyglądało jak uśmiech. Rozłożyła ręce, skrzydła znów zaczęły się rozwijać i nagle... to stało się zbyt szybko, żeby można było dokładnie opisać kolejność zdarzeń. Morrisey i Born opuścili broń już chwilę wcześniej, dlatego nie zdążyli zareagować w porę. Obcy nagle zatrząsnął się, zadrżał wręcz. Skrzydła wystrzeliły rozpościerając się na całą szerokość, a uśmiechnięte dotąd usta otworzyły się jak do krzyku. Nike zobaczył zęby, szeregi równych stożkowatych kłów. Setki... I to było ostatnie, co jego wzrok zarejestrował, zanim krystalitowa przyłbica jego hełmu pokryła się gęstą pajęczyną pęknięć. Wtedy, na ułamek sekundy przed tym, jak osłona rozsypała się na drobne okruchy, usłyszał głos obcego. Nieludzkie, modulowane wycie. Stał najdalej, częściowo zasłaniała go ściana, więc nie stracił od razu przytomności, choć nie był pewien, czy to co widzi, to realne obrazy, czy też przywidzenia. Dopiero po

chwili uzmysłowił sobie, że oddycha powietrzem obcego statku. Instyktownie wstrzymał oddech, uświadamiając sobie zaraz bezsens takiego działania.

Obcy zeskoczył na podłogę i podniósł jedną ręką nieprzytomnego Borna. Drugą oczyścił resztki kryształitu z osłony, po czym uniósł człowieka do swej twarzy. Nike już widział oczami wyobraźni, jak setki spiczastych kłów zaciskają się na szyi porucznika, ale nic takiego się nie stało. Obcy i człowiek zetknęli się czołami i tak pozostali nieruchomi, przez kilka sekund. Potem Born wylądował na posadzce, a istota ruszyła do wyjścia, szła wprost na klęczącego Nike'a. Wypustka na jej czole, nie tak dawno przypominająca zaciśnięte wargi, teraz była otwarta, lecz Nike już nie zobaczył, co się w niej kryło. Pchnięty przez obcego przeleciał kilka metrów w głąb korytarza...

* * *

- Annataly! Odezwij się, do cholery! Morrisey do „Nomada”!

Gdy Nike wrócił do pomieszczenia z walcem, kapitan już doszedł do siebie. Jedną ręką przytrzymał słuchawkę komunikatora z rozbitego hełmu, drugą usiłował docucić leżącego obok cylindra porucznika. Jarrey chwiejąc się na

nogach stał pod ścianą i wymiotował.

- Widziałeś, gdzie poszedł? - Kapitan odwrócił się do Nike'a, odsłaniając zakrwawionego Borna. Na czole porucznika widać było wielki ciemniejący krwiak.

Nike bez słowa wskazał na korytarz.

- Twój komunikator działa?

- Nie wiem... zaraz sprawdzę... - sięgnął do panelu na rękawie. Większość diod paliła się na czerwono. Wcisnął przycisk resetujący. Istniała niewielka szansa na to, że autonaprawa zadziała. Ale nawet to musiało potrwać.

- Iarrey, łap się za fazer, idziesz przodem - zakomenderował tymczasem Morrisey, domyślając się odpowiedzi. - Ja wezmę Borna, a młody będzie ubezpieczał tyły. Spieprzamy na „Nomada”, potem opalimy temu skrzydlatemu krzykaczowi piórka o najbliższą gwiazdę.

Nie dyskutowali. Nike szedł tyłem, cały czas wpatrując się w półmrok skrywający najodleglejszy sektor korytarza. W tej pozycji nie mógł zauważyć, że Iarrey i kapitan zatrzymali się raptownie.

- Co jest? - zapytał wpadłszy na nich. Chwilę później sam zobaczył, co zmusiło ich do zatrzymania.

W miejscu, gdzie był łącznik z zewnętrznym kręgiem,

nie było teraz nic. Gładka ściana nie różniła się niczym od pozostałych.

- Może to nie ta sekcja korytarza.

- Minęliśmy cztery membrany - powiedział Jarrey - To było tutaj. Dokładnie tutaj.

- Jesteś pewien? - zapytał Morrisey.

- Stuprocentowo.

Kapitan położył bezwładne ciało Borna na podłodze i podszedł do ściany. Przyjrzał się jej z bliska, po czym cofnął się o dwa kroki, ustawił fazer na maksymalną moc i wypuścił strugę plazmy prosto przed siebie. Nie trwało to dłużej niż sekundę. Duży fragment obłej ściany wyparował, ale gdy kłęby gryzącego dymu rozpełzły się, nie zobaczyli wnętrza korytarza, który był w tym miejscu jeszcze niedawno. Owalny otwór miał głębokość niemal dwóch metrów i wszystko wskazywało na to, że otaczała go lita materia.

- Kapitanie! - Nike spojrział na wyświetlacze systemu łączności. Tym razem sporo diod świeciło się na zielono.

- Co znowu?

- Melduję, że mój system łączności działa.

- Świetnie, tyle że ze mną możesz pogadać bez pomocy systemu... A z „Nomadem” bez otwartych przejść się nie

połączysz.

Morrisey zaklął i nacisnął spust raz jeszcze. Znow spowił ich gryzący dym. Nike poczuł w pewnym momencie, że podłoga korytarza zadrżała. Jakby statek poczuł ból, jakby przeszył go jakiś skurcz. Kadet ledwie utrzymał się na nogach. Kapitan też się zachwiał, końcówka strumienia plazmowego, zanim zgasła, zrobiła spory wyłom w suficie. Tym razem, ledwie dym się rozwiął, zobaczyli znajomy widok. To było wnętrze jednego z pomieszczeń, które nie tak dawno sprawdzali, gdy weszli do łącznika. Morrisey uśmiechnął się krzywo.

- To teraz już wiemy, dlaczego nie zgadzały nam się pomiary.

- Zadziwiające - powiedział Jarrey wchodząc do otworu. - Ten statek nie ma stałej struktury. Tworzy przejścia tam, gdzie są aktualnie potrzebne - rozejrzał się po pomieszczeniu i wskazał na ścianę, w której przedtem była membrana wejścia. Teraz była tam taka sama gładka powierzchnia jak wszędzie. - Coś mi się zdaje, że prowadził nas prosto do miejsca, gdzie mieliśmy dotrzeć - zawrócił i przyjrzał się krawędziom wypalonego otworu. - Spójrzcie na to, zdaje się, że ta materia zaczyna się replikować...

Faktycznie, na gładkiej powierzchni wypalanej strumieniem plazmy zaczęły pojawiać się bąble, narośle - jakkolwiek to nazwać - i statek zaczął odbudowywać naruszoną strukturę.

Morrisey podniósł Borna i popchnął Nike'a do wnętrza dziury.

- Miejmy nadzieję, że koliste korytarze nie zasklepiają się jak łączniki. Nike, masz dostęp do holoplanu tej części statku?

- Nie mam holopadu. Został tam...

- To niedobrze. A pamiętasz, jaki był rozkład tych pomieszczeń?

- Mniej więcej... Jesteśmy po prawej, tu były cztery pokoiki, tej mniej więcej wielkości.

- Cztery, powiadasz... - Morrisey milczał przez chwilę, jakby coś obliczał. - Łącznik miał góra piętnaście metrów długości. Te pomieszczenia mają po trzy metry szerokości, tak na oko. Musimy zatem przepalić około trzech metrów ścian, żeby dostać się do głównego korytarza... Mój fazyer jest już pusty, mamy dwa pełne... powinno się udać.

- Nie powinniśmy wypstrykać się z całej plazmy - zaproponował Jarrey - Możemy jeszcze trafić na tego... anioła.

- Tym będziemy się martwić, kiedy go spotkamy - uciał

dyskusję Morrisey. - Odsuńcie się...

- Nie - powiedział cicho, lecz zdecydowanie Nike.

- Co znaczy: nie? - kapitan zatrzymał się i spojrzał na niego wrogo.

- Powinien pan to przemyśleć, sir... - Nike przełknął głośno ślinę. - Ta materia pali się wydzielając sporo dymu... Jeśli wejdziemy tam wszyscy, w tak małych pomieszczeniach podusimy się... Lepiej zostańmy tutaj. Stąd też da pan...

- Młody ma rację. - Iarrey, wciąż przyglądający się krawędziom otworu, nieoczekiwanie poparł kadeta. - Ta dziura zasklepi się za jakieś sześć, siedem minut. Napieprzaj, Henrichard, ale my poczekamy tutaj. Nie będziemy ci zabierać tlenu - podał kapitanowi swój fazer.

* * *

Kapitan zużył całą plazmę z Iarrey'owego fazera, zanim zdołał przebić się do czwartego z pomieszczeń. Według obliczeń od głównego korytarza dzieliły ich jeszcze góra dwa metry. Niestety pierwszy otwór w tym momencie zmniejszył się już na tyle, że istniała obawa, iż nie zmieszczą się do niego. Morrisey zdecydował, żeby wyczerpać resztkę plazmy ze swojego fazera, który stanowił teraz jedyną obronę dla trójki czekających w wewnętrznym korytarzu astronautów.

Iarrey zdołał poszerzyć otwór o kilkadziesiąt centymetrów, zanim cichy syk oznajmił, że plazma się skończyła. To dawało im dodatkową minutę, może półtorej. Dowódca „Nomada” nie próżnował w tym czasie. Krztusząc się od gryzącego, czarnego dymu zamieniał w nicłość kolejną ścianę.

Nike i Iarrey lękliwie spoglądali na niknący w oddali korytarz. Gdyby obcy zdecydował się w tej chwili pojawić, nie mieliby najmniejszych szans na przetrwanie. Woleli nie myśleć, co będzie, jeśli Morrisey się pomylił i zewnętrzny krąg już nie istniał, albo co gorsza przesunął się w inne miejsce.

- Teraz albo nigdy - pierwszy chwycił Nike'a za ramię i wskazał coraz szybciej zmniejszający się otwór w ścianie. - Wchodzimy.

Podnieśli wciąż nieprzytomnego porucznika i przetaszczyli go do pierwszego pomieszczenia. Mimo braku ciężenia nie była to łatwa operacja. Kłęby łzawiącego, wypalającego płuca dymu nie pozwalały otworzyć oczu i zaczerpnąć głębszego wdechu. Byli już w otworze pomiędzy trzecim a czwartym pomieszczeniem, kiedy w słuchawce Nike'a coś zaszumiało i nagle usłyszał mocno zniekształcone

zakłóceniami słowa. Widocznie Morrisey przebił się do miejsca, w którym łańcuch dron nadal miał łączność z „Nomadem”.

Krztusząc się wypadł na korytarz.

- ...ie jesteście, odbiór - zachrypnięty od krzyku głos nawigatorki brzmiał w uszach Nike'a jak najcudowniejsza muzyka.

- Smiley, żyjemy! - ryknął w przerwie pomiędzy spazmami kaszlu. - Skurwyklonia mać, żyjemy! Jesteśmy w głównym korytarzu...

Morrisey leżący o dwa metry od niego z oczami czerwonymi jak wampir nagle zeszywniał.

- Coś ty powiedział? - zapytał zachrypniętym, ledwie zrozumiałym głosem.

- Zameldowałem, że... - Nike z trudem łapiąc oddech uśmiechnął się do niego, ale natychmiast spoważniał. Twarz kapitana nabiegła krwią.

- Co, skurwykloni pomiole, powiedziałeś? - powtórzył pytanie Morrisey i rozkaszał się niemal wymiotując.

- Nie rozumiem...

- Nie rozumiesz? - Morrisey podniósł fazer, jego lufa wciąż jeszcze żarzyła się od gorąca. - Jak nazwałeś Annataly?

Nike pobladł. „Smiley"... Tak Annataly pozwalała na siebie mówić tylko tym, którzy... Na statku pilnował się, ale tutaj, ze szczęścia...

- To nie tak...

- Nie tak? - Morrisey mówił z trudem, ale jego oczy wyrażały bezgraniczną nienawiść. - Ostrzegałem cię, śmieciu. Najmniejszy ślad i...

Nike zamknął oczy, gdy kapitan naciskał spust. Nie poczuł nic, za to usłyszał przeraźliwy krzyk.

- Henrichard!

Zdumiony spojrział w głąb korytarza. Stała w nim sylwetka w pełnym kombinezonie próżniowym. Sądząc po wzroście, to była Annataly.

- A ty, sklonowana szmato, co tu robisz? - nie mniej zaskoczony Morrisey popatrzył na przybyłą, potem ze złością odrzucił w głąb korytarza bezużyteczny, rozładowany fazer. - Kto, do skurwykloniej maci, pilnuje naszego statku?

- Szmato? Sklonowana? - Głos Annataly zabrzmiał w słuchawkach jak syk żmii. - Może gdybyś bardziej interesował się mną, a nie butelką, nie miałbyś takich problemów ze WZWO...

- Zamknij się, dziwko! - ryknął kapitan siniejąc na

twarzy. - Zabiję cię razem z tym... tym...

- To ty się zamknij, Henrichard! - Te słowa nie padły z ust Annataly ani Nike'a.

- Gównu mnie obchodzi twoja potencja! - mówił podniesionym głosem Iarrey. - Mamy tu teraz większy problem. I nie zamierzam zginąć tylko dlatego, że ci już, stary pajacu, nie staje, zrozumiano?!

Morrisey spurpurowiał na twarzy jeszcze bardziej. Otwierał właśnie usta, żeby posłać do diabła pierwszego i całą resztę, ale Annataly go ubiegła.

- Dokładnie. Nie wiem, na co wy trafiliście, ale powinniście zobaczyć, co znalazłam za tymi grodziami... - rzuciła holopad w ich stronę.

- Załóż się, że nas nie przebijesz... - Morrisey chwycił urządzenie w locie. Włączył odtwarzanie, choć widać było, że bardziej interesuje go w tym momencie przegryzienie gardeł, zarówno nawigatorki, jak i kadeta. Rejestrator Nike'a wciąż działał, Iarrey chyba też nie miał problemów.

Ładownie statku były ogromne. Trudno było ocenić jak wielkie. Równie trudno było zliczyć, ile ciał - chociaż słowo ciała chyba nie bardzo pasowało do tej sytuacji - znajdowało się w ich wnętrzach. Widzieli tysiące, dziesiątki tysięcy

wypatroszonych humanoidalnych istot wiszących w równych szeregach. Kobiety, mężczyźni, nawet dzieci...

- Co to, do skur... - wyszeptał Morrisey po chwili ciszy.

- Nie wiem, jak wam, ale mnie się to teraz składa w logiczną całość - powiedział Iarrey. - Gość ze skrzydłami, te ciała, pojazdy w doku...

- Co ty pieprzysz, Heraklesteban? - zdziwił się Morrisey.

- Jakie znowu pojazdy?

- Zajmowałem się analizą pojazdów przytwierdzonych do wieży w doku - przypomniał mu Iarrey. - Katalogowałem wszystko i... spokoju mi to nie dawało. Zdawało mi się, że jeden z nich jest jakby znajomy...

- Streszczaj się - zganił go Morrisey.

- Biblia. Księga Enocha - streścił swoją myśl Iarrey. - Koło w kole.

- Prosiłem grzecznie...

- Opis aniołów, którzy zabrali proroka Enocha do nieba...

- Nike załapał sens skrótowej wypowiedzi. - Tam jest opisany pojazd, którym go wieźli. I koło w kole..

- Dokładnie takie rozwiązanie techniczne miały pojazdy, jakie znaleźliśmy w doku tego statku - dokończył Iarrey.

- Chcesz mi powiedzieć, że ten skrzydlaty skurwyklon z

ryjem jak syrena alarmowa to protoplasta anioła? - zapytał Morrisey.

- Jaki skrzydlaty skurwyklon? - dołączyła do niego zdziwiona Annataly.

- Tak - Iarrey nie zwrócił uwagi na jej pytanie - to właśnie chcę powiedzieć. Od tysiący lat ludzie mówią o spotkaniach z aniołami, wysłańcami Boga. A tu mamy statek, na którym jest skrzydlata istota, która wygląda jak nie przymierzając zdjęta z fresku starożytnej świątyni, a do tego cała ładownia wypatroszonych humanoidów, idę o zakład, że to są ludzie, nasi praprzodkowie sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat i na dodatek pojazdy pasujące do opisów z Biblii.

- A to znaczy...

- ...że jesteśmy pokarmem bogów - podsumował Iarrey - Ziemia to tylko farma z bydłem hodowlanym... Teraz masz odpowiedź na pytanie dlaczego admiralicja nie dopuści za nic do ujawnienia informacji o tych obcych.

- Kurwirtual by to... - Morrisey wyłączył holopad. - A teraz chciałbym się dowiedzieć, kto czuwa na „Nomadzie”?

- Kiedy straciliśmy kontakt, obudziłam ojca Pedroberto - odpowiedziała spokojnie Annataly.

- No to módlmy się, żeby nasz skrzydlaty przyjaciel nie

zechciał go odwiedzić przed nami... - podsumował sytuację Morrisey. - A z wami, z wami, rozliczę się później... - wskazał na Nike'a i Annataly.

* * *

Szli w kierunku hangaru wciąż wywołując „Nomada”. Bezskutecznie. Na żadnej z alarmowych częstotliwości nie uzyskali połączenia. Nike na wszelki wypadek trzymał się z dala od kapitana.

- Zabiję go, po prostu zaduszę własnymi rękami - gorączkował się Morrisey. - Gdzie ten katabas polazł?

- Nie sądzicie chyba - zapytała Annataly - że ten... ee... obcy jakoś dostał się na nasz statek?

- A niby jak? - prychnął Morrisey.

- Anioł stający przed księdzem...

- Jak miał przed nim stanąć?! - wrzasnął zirytowany Morrisey. - Goły w otwartej przestrzeni? Jakby był taki odporny, to by nie utrzymywał atmosfery tlenowej na własnym statku.

- Tylko się głośno zastanawiam - zachnął się pierwszy oficer.

- Siejesz defetyzm i tyle. Bez kodów dostępu sam nie otworzy śluz, a na zewnątrz Pedroberto niespecjalnie ma go

jak zauważyć.

- A zastanowiłeś się może, dlaczego Born ma takiego krwiaka na czole? - zapytał Iarrey.

- Bo oberwał centralnie? - odparł Morrisey.

- Czym oberwał? - skontrował natychmiast pierwszy. - Nike mówił, że widział, jak anioł przystawił do tego miejsca to coś, tę narośl na czole...

- I co z tego? - zniecierpliwił się kapitan, po raz kolejny wywołując „Nomada”.

- A jeśli w ten sposób wysondował jego umysł? Zebrał wszystkie potrzebne mu informacje?... W tym kody dostępu do służby.

- Fantazjujesz.

- Być może. - Iarrey uśmiechnął się złośliwie. - Jeszcze parę godzin temu nie wierzyliśmy w istnienie obcych. Teraz mamy ładownie pełne wypatroszonych ludzi, kołesia wyglądającego jak anioł i pojazdy z Biblii... Jak dla mnie, to jest już na tyle fantastycznie, że wszystko jest prawdopodobne. Nawet jeśli wydaje się totalnie niedorzeczne.

Kapitan nie odpowiedział. Ze zdwojoną energią zaczął wzywać „Nomada”. Nike, pomimo strachu i odrazy, w głębi serca podziwiał jego upór. Nie wierzył, żeby te próby

przyniosły jakikolwiek efekt, ale gdy za setnym wywołaniem pośród trzasków rozległ się niewyraźny głos, niemal krzyknął z zachwytu.

- Ojcie, to ja! - ryknął Morrisey. - Słyszysz mnie ojciec?

- ...ak, słyszę cię, synu.

Głos ze słuchawek był zniekształcony, ale zrozumieli.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Sytuacja alarmowa - podjął kapitan. - Musi ojciec obudzić kadetów i przysłać ich w pełnym rynsztunku bojowym z zapasowymi hełmami na ten wrak. Niech natychmiast pakują się do promu!

- Obawiam się, że to niemożliwe - odpowiedź była tyleż krótka, co konkretna.

- Słucham? - Morriseya zatkało. Przez chwilę nie było odpowiedzi.

- Nie odzywałem się do was - powiedział w końcu ojciec Pedroberto - bo musiałem sobie przemyśleć tę sprawę...

- O czym ojciec do skur... - zirytował się kapitan.

- Zamilcz, Henrichard - uciszył go kapłan. - Tolerowałem twoje grzeszne uczynki, bo nie miałem innego wyjścia. Ale to już przeszłość...

- Miałeś nas na podglądzie? - zdziwił się Iarrey. - Jeśli

tak, to widziałaś, co zarejestrowały kamery w ładowniach tego statku. Słyszałaś, co mówiłem...

- Tak... - odparł ojciec Pedroberto. - I to jest właśnie mój problem. Może wydawało wam się, że nie ma we mnie powołania, ale myliliście się.

- Ale jakie to ma znaczenie dla naszej sytuacji? - zapytała łamiącym się głosem Annataly. - Jeśli nawet Iarrey ma rację, to co to ma wspólnego z wysłaniem po nas promu?

- Nie domyślasz się? - odparł krótko kapłan.

- Nie.

- To, co widziałem i słyszałem dzisiaj, zaprzecza wszelkim podstawom mojej wiary. Wiary, którą wyznają dziesiątki miliardów ludzi w setkach systemów. Wiary, która kształtuje naszą cywilizację od tysiącleci. Wy znaleźliście dowody na to, że być może czciliśmy istoty, które traktowały nas tak, jak my traktujemy... bydło rzeźne. Jak sądzicie, czym skończyłoby się wyjawienie tej prawdy?

Zapadła cisza, nawet Morrisey nie odpowiedział.

- Mogłoby to zachwiać podstawami cywilizacji. Może nawet doprowadzić do kolejnej wojny...

- Skończ pieprzyć, wredna świnió! - Morrisey w końcu nie wytrzymał. - Dla kasy byłeś w stanie przymykać oko na

zabijanie niewinnych, a teraz zgrywasz świętego...

- Byłem grzesznikiem, to prawda - powiedział ojciec Pedroberto - ale znalazłem sposób na odkupienie swoich grzechów w obliczu Boga.

- Jakiego znowu Boga? - zachnął się Iarrey. - Widziałeś przecież, czym są te istoty!

- Ja to wiem - odparł spokojnie kapłan - wy to wiecie, ale cała reszta ludzkości nie ma o tym pojęcia i nigdy się nie dowie. Znam wasze ułomności. Jesteście zbyt zepsuci, żeby zatrzymać tę tajemnicę dla siebie. Musicie zginąć.

- I kto to mówi! - zachnęła się Annataly.

- Co ojciec zamierza? - zapytał z przekąsem Nike. - Chce nas ojciec zabić z zimną krwią? Czy to nie będzie wbrew przykazaniom?

- Przykazania? Te przykazania? - roześmiał się Pedroberto. - Sam w nie w tej chwili nie wierzysz.

- Zamierzasz nas tutaj zostawić na pastwę losu? - zapytał Iarrey. - Z tym potworem na karku?

- Aż taki szalony nie jestem - odparł kapłan. - Moglibyście coś jeszcze wymyślić... Dlatego zadbałem, żeby ten statek został wymazany z historii świata. A jeśli jeszcze nie wiesz, o czym mówię, to słowo klucz brzmi: kolapsar, mój

synu. Dla waszej wiadomości przeprogramowałem właśnie jedno z tych piekielnych urządzeń. Za kilka godzin w znanym Wszechświecie nie pozostanie żaden ślad waszego odkrycia. Bez odbioru.

- Będziesz się smażył w piekle, klecho - powiedział Morrisey do martwego komunikatora.

- W świetle ostatnich wydarzeń nie sędzę, żeby piekło było dla niego straszakiem - mruknął załamany Nike.

- Ano właśnie - uśmiech kapitana Morriseya nie zwiastował niczego dobrego. - Skoro ten temat mamy już zamknięty i skoro mam dzisiaj umrzeć, a piekła nie ma, pora dotrzymać słowa danego Damiandreasowi, panie córeczkojebco...